Nr. 8. Lwów, Niedziela dnia 21. Października 1877 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Odpowiedź p. Szujskiemu.

We wrześniowym zeszycie Przeglądu polskiego jest artykuł p. J. Szujskiego: „O fałszywej historyi, jako mistrzyni fałszywej polityki z powodu artykułu p. L. Wolskiego: Dyagnoza.“

Artykuł ten, będący gwałtowną filipiką przeciwko demokratycznemu stronnictwu polskiemu, ciekawym jest nietylko z tego względu, że dokładnie określa stanowisko, jakie Stańczyki zajmują wobec sprawy narodowej, ale i dla tego jeszcze, że jest nowym dowodem, że tak różnorodne zajęcia, jakiemi się obarczył p. Szujski, pełniąc naraz obowiązki profesora, dziekana wydziału, członka akademii i jej sekretarza, członka rady miejskiej, publicysty, dramaturga i historyka — nie potrafiły ostudzić w nim poetyckiej weny; że jakkolwiek w swych dramatach jest on najczęściej nudnym i rozwlekłym prozaikiem, za to w artykułach treści politycznej jest poetą, pełnym fantazyi i romantycznego nastroju.

Jakoż namiętna dyatryba, z jaką p. Szujski świeżo wystąpił, nie jest czem innem, jak fantastycznym poematem od początku aż do końca. Ze względu na treść tego niby poematu, mógłby w nim ktoś wypatrzeć pewne podobieństwo do Nieboskiej komedyi“, gdyby nie to, że kiedy bohater Krasińskiego, potomek hetmanów i wojewodów, umie przynajmniej w walce z wrogami zachować do ostatka rycerską dumę i pewną szlachetność, podnoszącą go po nad tłum znikczemniałej gawiedzi; to bohaterowie p. Szujskiego, lubo także potomkowie hetmanów i wojewodów, w walce z przeciwnikami zniżają się do wzywania pomocy policyi i w jej asystencyi usiłują narzucić narodowi przekonania i zasady, do których możeby się przyznali członkowie grodzieńskiego sejmu, ale żaden z tych, co za Zygmuntów zasiadali w senatorskich krzesłach.

Zresztą jeżeli już mamy szukać jakiego podobieństwa w poemacie p. Szujskiego, to chyba do owego romansu Cerwantesa, który opiewa niesłychane przygody sławnego na cały świat rycerza z La-Manszy. Podobieństwo to nawet jest dość ścisłe. Z wyjątkiem trzeźwego i rozsądnego Sanszo-Pansy, wszystko się znajdzie w poemacie p. Szujskiego, co stanowi treść i istotę utworu hiszpańskiego autora. Głównym przedmiotem opowiadania tak w jednym, jak i w drugim są walki z czarnoksiężnikami, rozpościerającymi na cały kraj siecie spisków i sprzysiężenia; z olbrzymami, zagrażającymi bezpieczeństwu ludzi cichych i miłujących spokój ze smokami i innymi potworami, czyhającymi na szlachetnych obrońców błędnego rycerstwa. Nie brak w nim ani Russynanta, który u p. Szujskiego nazywa się *liberum conspiro,* ani pięknej Dulcynei, którą nie jest żadna brudna dziewka od krów i garnków, ale strojna i wymuskana dewotka, imponująca światu swymi karmazynami, wytartymi w przedpokojach carów i w kruchtach kościelnych.

Że rolę rycerza smutnej twarzy wziął na siebie sam p. Szujski, to się samo przez się rozumie. Jakoż zaraz na samym początku widzimy go, jak dosiadłszy swego ulubionego konika i rzuciwszy wyzwanie na cztery strony świata, by nikt się nie ważył utrzymywać, że jest ktoś piękniejszym od bogini jego serca, pełen animuszu i rycerskiej powagi wyrusza w świat na wytępienie dręczących go potworów. Z ognistym mieczem niepohamowanej swady rzuca się przed siebie, rąbiąc w prawo i w lewo i wołając co sił starczy: a tuś mi potworze, zbrodniarzu! Mam cię teraz, nie ujdziesz śmierci. A chociaż w około pusto i głucho, chociaż szalone jego cięcia ani jednej kropli krwi nie utoczyły — z tem wszystkiem tryumfalnie ogłasza swe zwycięztwo, utrzymując, że zarąbał dziesięciu olbrzymów, a dwudziestu czarnoksiężników zmusił do ucieczki. Gdyby był wziął p. Szujski z sobą na wyprawę poczciwego Sanszo-Pansę, możeby ten potrafił swym chłopskim rozumem przekonać go, że owe olbrzymy i czarnoksiężniki, to jest własny cień jego, to są widziadła rozgorączkowanego mózgu, przywidzenia wybujałej fantazyi; ale na swoje nieszczęście zostawił p. Szujski swego giermka w domu, by podczas jego niebytności pilnował jego prac historycznych.

Nie jestże bowiem czystem przywidzeniem ze strony p. Szujskiego utrzymywać, że ktoś może żądać od historyka czego innego, jak prawdy, jak wiernego i sumiennego przedstawienia przeszłości; że ktoś może szukać w historyi nie ludzi z krwi i ciała, ale ideałów, nie wypadków rzeczywistych, ale wyidealizowanych! Nie, panie profesorze! my nie wymagamy od historyka, by nam pisał historyczne poemata; my potrzebujemy prawdy o naszej przeszłości, i wdzięcznie ją przyjmiemy, chociażby miała być gorzką, jak piołun, żrącą, jak kamień piekielny, chociażby miała pochylić upokorzeniem nasze czoła do samej ziemi, — ale potrzebujemy prawdy, któraby była oparta na dowodach, sądu o ludziach i wypadkach, któryby nie był echem koteryjnych widoków, nie był błazeńskiem plwaniem na posągi, zostające w poszanowaniu i czci narodu!

Czy nie jest również przywidzeniem widzieć w kimś wroga kościoła i religii ojców dla tego tylko, że występuje przeciwko jezuitom, jako sprawców wszystkich naszych klęsk i nędz, tak przeszłych, jak i teraźniejszych! Ależ p. profesorze! przypomnij sobie, coś o tych jezuitach, których dziś tak bronisz, napisał przed dziesięciu laty w swoich „Dziejach Polski“. W trzecim tomie, na str. 247 czytamy: „Z wszystkimi prawymi miłośnikami ojczyzny dawnych i nowych czasów zgodzić się musimy na to, że zakon jezuicki pracował dla celów własnych, dla polityki zewnętrznej, że członkowie jego nie mogli być, chyba wyjątkowo, prawymi obywatelami. Władztwo papieskie nad światem podupadłe zupełnie, chciałześrodkować w sobie, a nie mogąc działać otwarcie, działał intrygą i fałszem, wśliżgał się, aby mącić i zaciemniać. Gościnnie przyjęty w Polsce, czarną odpłacił jej niewdzięcznością: nienawidził jej szlacheckiej wolności i chętnie służył intrygom obcym, ba! gotów był nawet poświęcić dobro Rzeczypospolitej dla błahej nadziei nawrócenia Rosyi“. W czwartym zaś tomie na str. 360 czytamy: „Rehabilitować edukacyę jezuicką może tylko głupstwo albo przewrotność; a jeżeli z pierwszem ucierać się nie warto, z drugą nie można.“ Czy nowe poszukiwania historyczne zmusiły Cię,

p. profesorze, do odmienienia swego zdania o jezuitach, że ich sprawę identyfikujesz ze sprawą kościoła i religii? Czy może dzisiejsi jezuici inaczej, jak ich poprzednicy działają, inne mają cele przed sobą? Czy przestali „wyrabiać w społeczeństwie religijność pozorną, dewocyę faryzeuszów, lekkomyślne zaufanie w przebaczenie win publicznych i prywatnych za pomocą hipokryzyjnego nabożeństwa?“ (T. III. 246.) Czy ze swych szkół przestali wydawać „ludzi bez szerszych pojęć obywatelskich, bez wyrobionego obywatelskiego sumienia, którzy dopełniając codziennie aktów pobożności, zachowując się w granicach moralności osobistej, nie umieją wznieść się na wysokie stanowisko,“ (tamże) do którego sprawa narodowa powołuje? Odpowiedź na te pytania zostawiamy p. Szujskiemu.

P. Szujski, jeżeli walczy z taką zaciętością przeciwko demokratycznemu stronnictwu, to nie dla tego, żeby był mu przeciwnym w zasadzie. I owszem sympatyzuje on gorąco z demokracyą w Niemczech i we Francyi, nie lubi jej tylko u siebie, w Polsce. Dla czego? Dla tego, że ona nic nie stwarza, lecz zabawia się w spiski i w demonstracye. Pozwalamy sobie zapytać się, kto więcej spiskuje, czy demokracya, która jawnie wywiesza swój sztandar i w sposób nieprzymuszony propaguje swe zasady, czy Stańczyki, którzy pod hasłem dobra ojczyzny usiłują przeprowadzić swe sprawy, mające na celu utrwalenie nad narodem przewagi oligarchicznej kliki, którzy w swej propagandzie uciekają się do intryg, do terroryzmu, nie gardząc w danym razie nawet usłużnością policyi? Co się tyczy bezowocnych demonstracyi, zarzucanych demokratycznemu stronnictwu polskiemu — to możemy odpowiedzieć na to, że nie ci demonstrują, co urządzają wystawę, ale ci, którzy przeciwko niej agitują, że nie ci demonstrują, co urządzają składkę na rzecz oświaty ludowej, ale ci, co i jednym fenigiem do niej nie przyłożyli się. Czy mowa twoja p. profesorze, na pogrzebie A. Walewskiego, w której nieboszczyka, znanego ze swych zasad antinarodowych, usiłowałeś przedstawić, jako ofiarę prześladowania fałszywych patryotów, nie była demonstracyą? Czy nią nie były odczyty p. Tarnowskiego we Lwowie, odbywane pod opieką policyi? A jakże nazwać świeżą denuncyacyę Czasu, który na podstawie pewnych wiadomości zawiadamia rząd moskiewski, że wysłaną zastał broń do Rosyi dla wywołania w niej rewolucyi, jeżeli nie demonstracyą prawdziwie policyjnej lojalności, która może pociągnąć za sobą okrutne prześladowania najniewinniejszych? Co za interes mieć można w tak gorliwem opiekowaniu się moskiewskim rządem, ażeby wyręczać jego tajną policyę w tem, co stanowi jej obowiązek?! Czy mania strachu i nienawiści do wszystkiego, co wykracza z granic ślepego legalizmu tak dalece zapanowała nad wami, żeście już zatracili nawet poczucie różnicy między tem, co jest godziwe, a niegodziwe, co jest szlachetne, a nikczemne?!...

Do szczególnej fantazyi p. Szujskiego należy także zaliczyć chęć pouczania, czem za czasów rzeczypospolitej była szlachta ze swymi przywilejami. Możnaby wnosić, że p. Szujski chciał tem dać poznać, że postępowe stronnictwo składające się z potomków owej szlachty, w niczem nie jest lepsze od swych praojców. Najprzód nieprawdą jest, ażeby stronnictwo demokratyczne składało się z samych przedstawicieli dawnej szlachty, a powtóre jestto potwarz niczem nie udowodniona, ażeby ci, co do nich należą, podzielali w tym względzie przesądy i uprzedzenia swych ojców. Jeżeli zaś nie ten jest sens gadaniny p. Szujskiego, jeżeli poprostu chciało mu się tylko zabawić w historyczną reminiscencyą, w tem przypuszczeniu, że będzie ono dla nas nowem i nieznanem dotąd odkryciem, to się grubo myli; wiemy o niem bardzo dobrze, od najmłodszych lat służyło ono nam za przestrogę, dzięki pracom takiego Lelewela, o którym pan Szujski odzywa się zawsze z przekąsem, dzięki takim konspiratorom, jak Mochnacki i członkowie demokratycznego towarzystwa, których imiona nabawiają Stańczyków gorączki. Zresztą, któżto głównie się przyczynił do tego poniżenia dawnej szlachty, kto ją przerobił na znikczemniałych pieczeniarzów, trzymających się pańskiej klamki z jednej strony, a tyranów, traktujących lud, jak bydło robocze — z drugiej, jeżeli nie jezuici na współkę z magnatami, którzy skarbiąc względy braci szlachty, nie przebierali w środkach, by ją sobie skaptować? Sam to przyznajesz, p. profesorze, w swych dziejach Polski, gdy powiadasz: „Dalecy od chęci wyrabiania uczniów swoich na ludzi z samodzielną myślą, z duchem nad stan i wiek podniesionym, Jezuici poddanych ich opiece paniczów kształcili na butnych a uległych wpływowi swemu panów, szlacheckich synków na pobożną, ale zapalczywe przy swobodach swoich obstającą szlachtę: (T. III. 245).

Jak dalece można się poddawać złudzeniom wybujałej fantazyi i czyste przywidzenia brać za rzeczywistość, dowodzi tego twierdzenie p. Szujskiego, twierdzenie, wypowiedziane nie na żart, ale z całą powagą posła i profesora, że prawdziwymi przyjaciółmi ludu są Stańczyki! Cóżeście zrobili dla tego ludu, że popisujecie się z jego miłością? Czy, kiedy naród krzątał się około zebrania funduszu na szkoły ludowe, przystąpiliście do składki? Tysiące wyszukaliście wtedy na zakupno pewnego prezentu, ale ani jeden grosz nie wpłynął od was do skarbonki ludowej. Zakładacie towarzystwa święcenia niedzieli, zmuszacie kupców do zamykania w dnie świąteczne sklepów, a jednocześnie zostawiacie po swoich majątkach otwarte na roścież karczmy i żadnych środków nie używacie, by lud wiejski powstrzymać od opilstwa! Ale, ba! umniejszyłoby to wasze dochody; takich ofiar nikt od was wymagać nie ma prawa. Kochacie lud, ale z daleka, o tyle, ile się to da uskutecznić bez czynnego poświęcenia. O, tak, wyście przyjaciele ludu, bierzecie go w opiekę przed demokratami, ale nie przez miłość dla niego; idziecie w tem za przykładem wszystkich oligarchów, którzy na karkach ciemnego tłumu spinają się do władzy i panowania nad ogółem. Jestto taktyka, której po wszystkie czasy używali tyrani świeccy i duchowni, którą obecnie praktykują na szeroką skalę jezuici, dążący do panowania nad światem za pomocą ogłupionego i sfanatyzowanego przez siebie ludu. Że nie o co innego wam chodzi, dowodzi tego jeszcze i to dzikie wypowiedziane przez ciebie p. profesorze, żądanie, ażeby naród wszelką troskę o dobro publiczne zdał na ludzi wybranych, których do tego przeznacza stanowisko i wykształcenie — sam zaś, nie troszcząc się już o nic, jadł spał i szył buty, zadowalając się, że jest ktoś, co za niego myśli i około spraw krajowych chodzi. Więc to jest owa przyjaźń dla ludu? Wybyście chcieli zaprowadzić u siebie może coś na kształt paragwajskiej rzeczypospolitej, w której lud był trzodą owiec, a ojcowie Jezuici panami ich strzygącymi. Dobre to były czasy, ale, niestety! przeminęły bezpowrotnie. W dzisiejszym przeklętym wieku, każdy, czy go stać na to, czy nie, pragnie być panem swych myśli i czynów i uważałby za hańbę dla siebie, by go ktoś wyręczał w tem, co stanowi godność ludzką, co odróżnia go od bydlęcia. Nie przeczymy, że dla wybrańców losu nie zawsze jest wygodną kontrola gawiedzi, nie umiejącej pokornie znosić naigrawań się butnych a niedouczonych hrabiów z tego, co dla niej jest świętem, co od dziecinnych lat nawykła czcić i uwielbiać; że wtrącanie się jej do spraw publicznych, od których dotąd była tak starannie odsuwaną, może być niemiłem dla tych, co sprawę ogółu uważają za swój interes prywatny; że radzić się opinii ogółu może być rzeczą upokarzającą dla tych, co chcieliby sami tworzyć opinię. Wszystkie te niedogodności pojmujemy i przyznamy wam słuszność, jeżeli otwarcie do tego się przyznacie; tylko nie mówcie nam o swojej miłości dla ludu, bo jeżeli jaką macie, to chyba podobną do tej, jaką ma gospodarz do swych wieprzów, które tuczy, ażeby tem drożej je sprzedać. Miłość ludu w waszych ustach zakrawa na ironię, jeżeli nie na cynizm człowieka, wygłaszającego zasady, w które nie wierzy.

Na tem kończymy swą odpowiedź. Wprzód atoli pozwalamy sobie udzielić skromnej rady p. Szujskiemu, by zechciał przekonać się, że nie dla niego jest sfera politycznych walk, że z większą będzie sławą dla niego, a korzyścią dla narodu, gdy się odda wyłącznie badaniom historycznym w duchu, jaki zaznaczył sam tak dosadnie na wstępie swego artykułu; by rozpraszane siły swego umysłu użył na rozświetlenie naszej przeszłości, którą tak słabo, tak niedokładnie a nawet fałszywie pod wielu względami znamy. Wprzód atoli potrzeba, ażeby zerwał z koteryą, która jego myśl skrępowała potrójnym łańcuchem, posługując się nim, jak parobkiem w sprawach najtrudniejszych i najdrażliwszego charakteru. Pięknie jest stać niezłomnie na straży świętej sprawy i dać się nawet ukamienować za nią; ale kruszyć kopie w obronie zmurszałej oligarchii i przewrotnego jezuityzmu — sławy wielkiej nie przynosi. Gdyż to nie prawda, że Stańczykom chodzi o uchronienie ojczyzny od klęsk podobnych, na jakie ją naraził rok 1863! Chodzi im przedewszystkiem o to, ażeby powstrzymać potok postępowych zasad, zagrażających wywrotem przewagi arystokratycznej kasty w narodzie!

Utrzymujesz p. profesorze, że wy, Stańczyki wierzycie w żywotność narodu. Dla czegoż usiłujecie go skrępować w pęta jakiegoś legitymizmu, wymyślonego na korzyść wybrańców losu, dla czego mrozicie strachem jego naturalny zapał, dla czego upokarzacie go i poniżacie podejrzeniami, do których nie daje wam żadnego powodu? Czy nie tak postępują wszystkie rządy despotyczne, które boją się własnego cienia, każdy objaw życia narodowego biorąc za zwiastuna gotującej się rewolucyi, które argusowym wzrokiem wyszukują spiski w najniewinniejszych sprawach, które wmawiają w swe ludy, że wielka czeka ich przyszłość, ale pod warunkiem, że pozostaną wiernymi im i ślepo posłusznymi, zajmując się tylko tem, co dotyczy ich prywatnych interesów i pozostawiąc troskę o dobro publiczne tym, którym się to należy z prawa i powierzonego im stanowiska?! Pierwowzorem waszej polityki jest system moskiewskiego rządu — więc nie wmawiajcie w naród, że jesteście narodowem stronnictwem. Wyście kliką, spłodzoną z ojca strachu i z matki oligarchicznych uroszczeń!..

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Mimo poszanowania jakie obudzała, charakter pani Brygity nie mógł jej serc zjednać; była dobrą dla otaczających, ale obcą wszystkim. Prędzej sam Spytek rozmową, słowem, uśmiechem zbliżył się do kogo i dowiódł, że z nim czuje się członkiem jednej wielkiej ludzkiej rodziny; pani spełniała jak najściślej obowiązki swoje, wymagała od drugich ich spełniania nieubłaganie, ale jej serce kobiece zdawało się żelazną blachą w piersiach zabite. Nie okazywała ani szczęścia, ani bólu, zawsze była jedną, milczącą, poważną i jakby całemu światu zupełnie obcą, żyła tylko w sobie. Dla męża powolna, stosująca się do jego rozkazów, uległa rozporządzeniom, również była zimną i nieprzystępną.

Gdy pan Bóg dał jej syna, zdawało się że te lody pękną. Chwyciła dziecię, namiętnie przyciskając je do łona.. chciała je kochać, rozwiązały się usta, zabiło serce, ale lekarze nie dozwolili karmić jej samej, dziecię potem odesłano pod cieplejsze niebo, wydarto jej tę pociechę.

Naówczas, choć po zbladłem licu, widać było ślady niezmiernego cierpienia i walki, z ust jej nie wyrwała się skarga, jęk, ani prośba. Uległa, z nową namiętnością tylko rzucając się do łowów. Dziecię ledwie raz w rok przywożono do Mielsztyniec. Były to dla niej dnie uroczyste, gorączkowego zajęcia; ale zarazem z obejścia się z synem znać było, że ten związek serdeczny, który życie powoli każdą chwilą razem przebytą utrwala, został zerwany między nią a tem dzieckiem. Z ciekawością wpatrywała się w nie, badała: a czuła mu się obcą. Niekiedy wybuch czułości ją zbliżał, a chłód dziecka oddalał...... Syn wychowany był starannie, ale z pewnemi szczególnemi ostrożnościami, które tylko przeszłość wytłumaczyć mogła. Obawiano się w nim egzaltacyi, zbytku roznamiętnienia, więc dążeno ku temu, by zawczasu go rozczarować, ostudzić i trzymać w chłodzie. Może dla tego matce nawet zajmować się nim nie było wolno, bo mimo pracy jej nad sobą, energiczny charakter malował się w niej dobitnie. Matką więc była tylko z imienia, choć w czasie pobytu dziecka w Mielsztyńcach zbliżała się często ku Eugeniuszowi, jakby dobyć z niego chciała rzeczywiste przywiązanie dziecięcia...

Z planów zapewne głęboko obmyślanych wynikało, że chłopak chować się musiał między obcymi, zdala od wrażeń jakie w domu rodzicielskim mógł odbierać, powierzony opiece najtroskliwiej wyszukiwanych piastunów i nauczycieli. Strzeżono go od marzeń, wdrażano do rzeczywistości, zabijano w nim umyślnie zbytnią czułość i namiętności gwałtowniejsze, których wybuchu zdawano się spodziewać. Ojciec pomimo to nastawał mocno, aby dziecię bardzo religijnie w wierze ojców, w nawyknieniach do praktyk jej wyrastało. Zastosowywano się do tego, ale trudno było w ówczesnej Francyi, przy nauczycielach Francuzach, acz w stanie duchownym wybieranych, tchnąć weń tego ducha, który tam już nie istniał. Koniec XVIII wieku wyrobił tak nieznacznie swawolę myśli, pragnącej odzyskać swe prawa sądu i samorządu, iż jej ulegli nawet ci, co suknię duchowną nosili i z powołania do obrony religii obowiązani byli. Ci, zachowując powierzchownie wszystko, do czego ich stan ten zmuszał, posłuszni zewnętrznym formom, stykali się w życiu z zasadami tak przeciwnemi powadze, której musieli ulegać, otoczeni byli atmosferą tak przesiąkłą całe różnym duchem, iż niepostrzeżenie tracili gorliwość, nabywali pobłażania, zarażali się sceptycyzmem, a raczej drętwieli w obojętności zupełnej. Działanie to ducha wieku nie było nagłe, jak się nam dziś wydawać może z daleka, nie występowało wręcz zaczepnie do boju, ograniczało się tajemniczem, ale niszczącem przetwarzaniem przeszłości.

Wszystko, co jakąkolwiek miało styczność ze światem uczonym, z literaturą, przejęte było niewiarą i niespokojem poszukiwania utopii, które wiarę zastąpić miały.

De Bury, nauczyciel młodego Eugeniusza, był najzapaleńszym zwolennikiem Jana Jakóba Russa... W jego pismach upatrywał jakby nowe światło, jutrzenkę nowej ery; a jak wielu naówczas, godził marzenia filozofa genewskiego, z zasadami chrześcijańskiemi W Mielsztyńcach ścisłość religijna była nader wielka, zachowywanie przepisów, nawet najobojętniejszych, wiary, posuwano do nieubłaganej surowości. Sam pan Spytek był niejako stróżem ortodoksyi domu i stawał opornie nawet przeciw kapłanom, jeśli coś z praktyk starych zwolnić chcieli dla słabości ludzkiej. Nigdzie też wszystkie tradycye kościoła naszego pilniej przestrzegane nie były, a obrzędy spełniane z większą skrupulatnością. Kaplica zamkowa była filią parafialnego kościoła, dosyć oddalonego, na słotne i chłodne pory roku, ale mimo przywilejów jakie miała, Spytek w dnie uroczyste poczuwał się do obowiązku odprawiania nabożeństwa w miasteczku, wraz z innymi parafianami, i naówczas go tylko obcy ludzie widzieć mogli z daleka. Odbywało się to z pańską wystawą; szły powozy stare, ozdobne, poprzedzane przez masztalerzy, ze służbą w wielkiej liberyi, z rękodajnymi dworzanami, hajdukami itp. Kawalkata zajeżdżała przed kościół, a proboszcz zwykle ze święconą wodą naprzeciw dostojnych kolatorów wychodził, którzy we drzwiach przyjęci, zamykali się potem w osobnej loży, przy wielkim ołtarzu dla nich umyślnie wzniesionej. Lud miasteczka i okolicy cisnął się naówczas tłumnie przy wejściu i wyjeździe, aby ich oglądać choć z dala, gdyż ciżba sług szeregiem stojąca na drodze do karet, zbyt mu się zbliżać nie dawała. W takich razach kapelan, najczęściej zakonnik, towarzyszący państwu, rozdawał obfite jałmużny, po które żebractwo się w te dnie zdala zbiegało.

Spytek sam przestrzegał, aby domownicy wszyscy równie z nim uczestniczyli w nabożeństwach i zachowywaniu religijnych obyczajów miejscowych, który każdy niemal kraj sobie wyrobił w pierwszych wiekach gorliwości. A na tych chrześcijańskich ucztach, na które gdzieindziej liczne się zjeżdża sąsiedztwo i rodzina, w wigilią Bożego Narodzenia i na wielkanocne święta w Mielsztyńcach pusto było, i nikt prócz starszyzny i oficyalistów do stołu nie siadał. Łamano się opłatkiem, dzielono święconem jajem w milczeniu jakiemś smutnem. Bo Spytkowie rodziny nie mieli, a przyjaciół dobrowolnie się wyrzekli.

Można sobie wystawić, jak księdzu de Bury, odwykłemu od praktyk ścisłych, wydawać się musiał dom ten, istny klasztor ostrej reguły. O ósmej rano dzwoniono na mszę świętą do kaplicy zamkowej; naówczas, co żyło we dworze, musiało jej być przytomnem. Po mszy następowały spólne modlitwy, śpiewy, czasem medytacye... i dodatkowe obchody, wedle pory roku. Wieczorem spólna modlitwa na Anioł Pański znowu skupiała wszystkich. Środa, piątek i sobota sam pan Spytek suszył zawsze i do stołu nie siadał nawet; w wigilie także, adwent, wielki post czterdziestodniowy, suchedni kwartalne jadano z olejem lub wodą, kto oleju nie znosił. Dla Francuza były to rzeczy niesłychane, gdyż nigdzie post, oprócz po klasztorach, tak surowo jak u nas zachowywanym nie bywa. Dzieciak także od tego był odwykł, a posty za granicą odbywał z nabiałem, rybami, oliwą i czuć mu się one nie dawały. Różnica ta rodzicielskiego domu nauczycielowi i dziecku wydawała się barbarzyństwem średniowiecznem. Wspominamy o tem, choć nie to tylko jedno raziło wychowańca ks. de Bury i uśmieszek wywoływało na jego usta. Wstrzymywał się wprawdzie z objawieniem tego, co myślał przy ojcu, ale nie krył przed matką, która milczała.

Spytek, ile razy syn powracał mu latem do domu na parę miesięcy, niespokojnem okiem badał rozwijanie się tej jedynej rodu swojego gałązki. Dopóki młodszym był Eugeniusz, łudził się i cieszył postępami, swobodą, weselem... ale od lat kilku już radość tę zastąpił niepokój, choć ukrywany, jednak widoczny. Zmieniono dwóch nauczycieli z kolei, starano się o księdza, w ogóle dostrzegł ojciec, że dziecię obce jest domowi, rodzinie. To go przerażało. Eugeniusz każdego roku powracał mu jakiś coraz dziwniej obcy, coraz mniej rozumiejący dom własny, coraz nim bardziej znudzony, uśmiechający się widoczniej z jego majestatycznej ciszy. Unikając może jakiegoś wymarzonego niebezpieczeństwa, zarażenia go zbytnio pewnemi tradycyami, któreby życie zatruć i obawą natchnąć mogły, nastręczono większe daleko, czyniąc zeń istotę bez związków z tym światem, w którym jednak żyć musiał i dźwigać jego obowiązki.

Stosunek ojca do syna i matki do jedynego dziecka był zaprawdę dziwny; nie brakło w nim oznak miłości i najczulszego przywiązania dowodów, a jednakże zdawało się, że serce z nich wyjęto.

Pieszczono to dziecię ale szczerszem słowem nikt nie przemówił... Ojciec nie umiał, czy nie mógł, matka jakby się lękała. Oczyma śledziła Eugenka, podziwiała go, lecz obawiała się doń przystąpić. Władał nim ten, któremu rodzice przekazali całą swą moc nad nim i prawo, — miły, słodki, dowci-

pny i rozumny ks. de Bury, ale wedle teoryi, nie wedle serca.

Jeżeli zamiarem było zawczasu ten niebezpieczny organ życia w nim zniszczyć i nieczynnością ostudzić, można rzec, że się wychowanie doskonale udało: Eugenek żył głową, myślą, jak najmniej uczuciem. Nie obrachowali nauczyciele może, iż rozbrajając serce, niepodobna fantazyi związać, myśli spętać, namiętności sparaliżować; a gdy przeciwwagi uczucia nie ma, naówczas ta fantazya i namiętności dalej mogą zaprowadzić, niż słabe serce znieść by mogło...

Często co ma ostudzić i uzbroić człowieka, na większe go niż czułość chorobliwa naraża niebezpieczeństwa...

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków prostej naszej, ale niestety prawdziwej powieści. Dzień ten, na który wypadkiem trafił do Mielsztyniec pan Repeszko, był dla Spytków uroczystym. Po roku niewidzenia odzyskiwali to dziecię, na którem wszystkie ich spoczywały nadzieje, i mogli śledzić w niem rozwijanie się o przyszłości stanowiące. Nie dziw, że ojciec drżąc nań oczekiwał, że matka przeciw niemu wybiegła, aby go prędzej zobaczyć.

Ks. de Bury, który już od lat kilku był przy Eugenku, nie znał też Mielsztyniec. Zalecony przez jednego z pobożnych i świętobliwych zakonników na nauczyciela dla młodego Spytka, w czasie wakacyi zwykle odbywał podróż do swej rodziny i po raz pierwszy przybywał z wychowańcem do nieznanego sobie kraju i domu. Kraj, dom i ludzie czynili na żywym Francuzie niezmierne wrażenie, ale nadto był dobrze wychowanym człowiekiem, aby zdziwienie swe okazał, lub słowem je zdradził. Z ciekawością spoglądał na wszystko. Z niemniejszą wyczekiwał nań Spytek, który jakoś wcale różne sobie wyobrażenie był uczynił o księdzu i guwernerze swego jedynaka; uderzyła go od razu ta powierzchowność zbyt światowa.

Gdy weszli do pokoju ojca, a dziecię rzuciło mu się na szyję, nie jak po polsku wypadało, do nóg, gdy za chłopakiem ukazał się fryzowany, młody, uśmiechający się księżyna, stary pan Mielsztyniec zadrżał. W jednej chwili pojął, poczuł, że straconem było wszystko, że syn jego tym nie będzie, kim on go mieć chciał. Nadto był on dobrym fizyognomistą i sędzią ludzi, by się na tem nie poznał. Zbladł p. Spytek, zadrżał, ręce jego objęły syna... ucałował czoło, ale łza która się na czoło dziecka stoczyła, już go opłakiwała. Druga jeszcze okoliczność uderzyła go nieprzyjemnie. Eugenek, który od przeszłego roku powinien był wyrosnąć, nie zdał mu się ani odrobinę wyższym. Ojciec poczuł w objęciach, że dziecię nie urosło, że rosnąć od roku przestało... że było niższe od niego, trwało więc nad jego rodem przekleństwo... Ale oba te nieprzyjemne wrażenia pokrył siłą woli, uśmiechnął się i wrócił do układnego Francuza, który przygotowany kompliment deklarował z odwagą i przytomnością umysłu niezachwianą. W tej oracyi, subtelnie madrygałowym sposobem przysmażonej, zręcznej, wytwornej a czczej, była mowa o wielkich przeznaczeniach potomka znakomitej rodziny, o owocach pracy, o darach natury itp. itp.

Spytek połknął to grzecznie, a patrzył na syna tylko, na którym też i oczy matki spoczywały z gorącą ciekawością... Rozmowa w pierwszych chwilach roztaczać się poczęła powolnie, obojętnemi zapytaniami, odpowiedziami, ogólnikami, które zawsze stanowią preludya zbliżenia się nieznajomych.

(C. d. n.)

BOHDAN ZALESKI
wobec dziejów liryki polskiej.

Studyum A. G. Bema.

(Ciąg dalszy)

Dla pełności obrazu i lepszego scharakteryzowania twórczej siły naszego wieszcza, wypada mi jeszcze wspomnieć o utworach pośredniej kategoryi, które ze względu na poważniejszy i zimniejszy ich nastrój, za późniejsze w ogóle uważam płody. Na ich czele stoją dwie największe co do rozmiaru kreacye Bohdana: „Przenajświętsza rodzina“ i wielokrotnie już wspominany „Duch od stepu.“

„Przenajświętsza rodzina“ jest uwieńczeniem dość licznych modlitw i hymnów poety. Poemat ten dzieli się na dwie części, stosownie do osnowy, wziętej w ogólnym konturze z Pisma Śgo. Część I.: Józef i Marya, wracając w licznym gronie pątników izraelskich, po obchodzie świąt wielkanocnych z Jerozolimy, spostrzegają nagle, że nie ma przy nich dziecięcia Jezus. Część II.: Strwożeni, idą do miasta, wchodzą do świątyni Salomona i widzą dwunastoletnie swe chłopię, każące pośród mędrców Zakonu o prawdach religijnych. Poczem następuje połączenie się i powrót.

O pomyśle oryginalnym i mowy tu być nie może. Rozgospodarowanie się jednak pośród gotowego materyału i ram przez Pismo św. narzuconych: tok opowiadania, przystrój obrazowy, a nawet w pewnej skromnej mierze i charakterystyka naczelnej postaci są dziełem autora. Pierwiastek muzyczny, tak właściwy poezyi Zaleskiego, nie został zaniedbany, mimo że drugorzędną tu odgrywa rolę. Wiersz wszędzie równy, jedenasto-zgłoskowy. Powtarzająca się kilkakrotnie zwrotka o „wyklętej Samarytance“ nie psuje harmonii; owszem, dodaje wdzięku i opis ten nieco do pieśni ludowej zbliża. Kwiecia malarskiego podostatkiem.

„Zieloność lasów oliwnych, lekki podmuch wietrzyka „rozmarynową kadzącego wonią.“ śpiew ptaszząt, słońce co „Tabor ozłaca, a niższe podgórza blaskiem rumianym gdzieniegdzie zapala,“ Cedron, co „wężykiem płynie,“ dziatwa, co „pławi baranki,“ oto jasne aż do zbytku szczegóły obrazów, pośród których przesuwają się gwarne drużyny pątników i opromieniona aureolą świętości wybrana rodzina. Malując zarówno okolice, jak i ludzi, poeta krępować się musiał w pewnym stopniu powagą Pisma, oraz uznanemi za prawdziwe sprawozdaniami dziejopisarzy i podróżników. Nie ulega jednakże najmniejszej wątpliwości, że żyjąc ciągle pamięcią i sercem między swoimi, musiał tu i owdzie, mimo wiedzy i woli, wmięszać do swego opowiadania rysy śród bratniej dopatrzone społeczności. Nic zatem dziwnego, że p. Spasowicz w swej „Historyi literatury polskiej“ dostrzegł podobieństwo między Izraelitami Zaleskiego a obozem ukraińskich czumaków i spieszącą peryodycznie do Poczajowa lub Ławry pieczerskiej drużyną „bogomodlców.“ Podobieństwo takie, o ile dowiedzione, szkodziłoby poniekąd artystycznej prawdzie, gdybyśmy się na poemat z ogólnego chcieli zapatrywać stanowiska. Ale „Przenajświętsza rodzina“ — to utwór dogmatyczny, a zatem w pewnej mierze „kwiat umarłego morza“ między żywymi kwiatami artyzmu... Nie należy więc za ten wybryk zbyt surowo sądzić poety, tembardziej, że nie ma tu widocznej między skostniałą, tradycyjną, a żywą prawdą sprzeczności. Niepsujące harmonii lekkie w obrazie wschodnim reminiscencye domowego życia Słowian są dość rzadkie, a uwydatniają się głównie w pobieżnych opisach biesiadniczego gwaru, pośród uczt i popasów. Naczelna postać jest przeważnie pojętą według Pisma; o ile zaś autor swobodniej starał się ją odtworzyć, o tyle, jak to już wykazał p. Tyszyński, wkradły się pewne w układzie szczegółowych rysów niekonsekwencye... Nic tu nowego powiedzieć nie mogąc, odsyłamy czytelnika do „Rozbiorów i krytyk“ wspomnionego pisarza. Tenże autor, porównywa dość szczegółowo „Przenajświętszą rodzinę“ z „Dzieciątkiem Jezus“ Hołowińskiego, i przysądza naszemu poecie zasługę lepszego, istotniejszego scharakteryzowania Chrystusa w chłopięcym wieku. Kto inny znów*), nazywając poemat Zaleskiego „dziwnie czarodziejskim obrazem,“ utrzymuje, że „w galeryi poezyi naszej tylko „Błogosławiona“ Lenartowicza do niego się zbliża.“ Jak w ogóle zestawienie poety Bohdana z Teofilem, tak i zbliżenie „Przenajświętszej Rodziny“ do „Błogosławionej,“ mimo, że bez wszelkich rzucone motywów, za dość szczęśliwe uważać należy. Jednakże między utworami Lenartowicza znalazłyby się rzeczy bardziej, niż „Błogosławiona“ poematowi Bohdana pokrewne. Za taki utwór uważamy fantazyę apokryficzną wieszcza Teofila pt. „Dzieci — obrazek na ścianę chłopskiej chaty**).“ „Błogosławiona“ jest obrazem religijnym, snutym myślą, oderwaną prawie od widoku naszej planety, przenoszącą czytelnika gdzieś w nadchmurne dogmatów krainy; poemat natomiast „Dzieci,“ podobnie jak i pierwszy krańcowo napiętnowany naiwnością, nie odrywa czytelnika od ziemi, a niebieskiemu gościowi—zgoła jak u Zaleskiego w drugiej części — ze śmiertelnemi chłopięty bawić się pozwala... Nie mamy ani możności, ani chęci szczegółowego zestawiania pokrewnych tych kreacyj. Powiemy tylko, że „Przenajświętsza Rodzina,“ w porównaniu z powyższemi *liliami naiwności*, jest opisem czy obrazem bardziej klasycznym, poważnym i ziemskim, chociaż mniej daleko, niż owe lilie barwą swobody artystycznej odznaczonym. Jest jednak inny jeszcze w rodzaju religijnym płód poetycki Lenartowicza, który o całe niebo wyżej nad „Przenajświętszą rodzinę“ stawiamy. Płodem tym są „Apostołowie.“ Nie podobna w kilku słowach określić całej wartości tego poematu. Zestawiając go wszakże z „Przenajświętszą rodziną,“ spostrzegamy w nim obcą Zaleskiemu, pewną głębszą myśl przewodnią, mistrzowską plastyczność narysowanych figur, i pod jasnym błękitem Chrystusowego nieba duchową walkę apostołów, śród której żywo i

*) Patrz: „Literatura polska w historyczno-krytycznym zarysie.“ Rycharski.—Kraków, 1868, — tom II, 162 str.

**) „Poezye Teofila Lenartowicza,“ Warszawa 1859 r. i Poznań 1855 r.

bogato uwydatnia się kontrast między *wybranymi* a *niewybranymi*.

W naszym utworze przeciwstawienie to jaśniej nieco wyraża się w jednym tylko ustępie (pod koniec części II), gdy mowa o potrąceniu Józefa i Maryi z Józefem przez lud, roznoszący hałaśliwie echo zwycięztwa atlety Chazara, co „pięścią zhukanego powalił byka.“ Jest to jedyne miejsce, gdzie obficie rozlana w poemacie miękkość słowa i błękit malarski ustępuje jędrnej sile wyrazu.

Najobszerniejszą pod każdym względem kreacyą Zaleskiego jest „Duch od stepu — przygrawka do nowej poezyi.“ Utwór ten powitany był kiedyś (w prelekcyach) przez Mickiewicza hucznym poklaskiem, a p. T. nadaje mu zaszczytne miano „królowej fantazyi.“ Pomysł autora „Ducha od stepu“ w ogólnym zarysie istotnie bardzo rozległy. Poeta wychodzi w swem opowiadaniu z przedświatowych krain platońskiej idei, a rozwinąwszy przed czytelnikiem cały wątek swych własnych dziejów, aż do chwili, w której pisze (prawdopodobnie około r. 1840), przedstawia w pojedyńczych widmach optycznych, niby sen wieszczy, wybrane dowolnie ustępy z historyi powszechnej, a w epilogu — wieńczącą poemat apoteozę dziejów ojczystych. Potęga talentu Zaleskiego nie sprostała olbrzymiemu planowi „epopei, której tłem wieczność, a Bóg bohaterem.“ „Osadza on“ wprawdzie „całą swą kompozycyę“ — jak powiada Mickiewicz — „na wyobrażeniu filozoficznem, a wszędzie wyraża się po prostu, jak poeta gminny;“ myśl jednak przewodnia, zarówno jak i artystyczne jej postaciowanie dowodzą tylko, zdaniem naszem: że asceta nie powinien się brać do malowania obrazów dziejowych, a wdzięczny piewca wiośnianek do wznoszenia wielkich pomników w dziedzinie eposu. Smutno doprawdy pomyśleć, że jest to jedyny może z pomiędzy utworów Zaleskiego, w którym tkwi pewien cel wyraźniejszy, ściślej przeprowadzona dążność, myśl przewodnia, i że owa dążność, owa myśl jest tak wsteczną, tak rozwojowi życia ludzkiego nie sprzyjającą. Przyznać jednak trzeba, że autor w swym teologicznym na dzieje poglądzie dość jest konsekwentny. Człowiek, zgrzeszywszy w Raju, upada, ale podnosi się później stopniowo przeczuciami zbliżającego się odkupienia. Ewangelia opromienia nagle jeden ziemi zakątek, i ztąd coraz dalej i dalej śle naokół swe życiodawcze światło. Średnie wieki — z władzą papieską, feodalizmem, błędnem rycerstwem i minstrelami — to według poety zenit szczęścia ludzkości. Jak od czasu wypędzenia z Raju do pewnej epoki, tak i od złotej chwili bezprawia, ciemnoty i mistycznych praktyk na świecie „wiek po wieku gorzej,“ coraz mniej w nas bożego ducha, coraz bardziej od ideału swego oddalamy się. To zamiłowanie Zaleskiego w średniowieczczyźnie jest tak wielkie, a niechęć dla idei postępu tak wyraźną, że „światoburcy,“ jak Atylla, obudzają w nim szczytny zapał pieśniarski, podczas gdy wynalazek druku i odkrycie Ameryki uśmiech tylko szyderczy na lica wywołuje:

„Widzę Ludzkość, milczy zdala,
Już się czemuś lepszą mieni;
Rozum — rozum swój wyzwala!
Miecz — precz; ręce — na kieszeni;
A szamoce się — wykrzyka:
„*Proch! i druk! i Ameryka!*“
Duch czy wróci?...
Mnich się żeni,
W ślady za nim waśń złowroga,
Skróś duchowni już cieleśni!
Smutno — pusto — nigdzie Boga —
Ani w sercach — ani w pieśni!
Drobne czyny, nudne dzieje;
Duch pochłania skry zapału,
Człowiek studzi się pomału,
Jako kruszec: *świat kupczeje!*
Dawne gniazda na skał zrębie,
Ale pierzchły już jastrzębie...“

Wiadomo, że w skarbcu poezyi naszej mamy wielki, choć nie rymowany, obejmujący daleko głębiej niż „Duch od stepu,“ całość dziejową „Niedokończony poemat“ Zygmunta Krasińskiego (zaczęty podobno około r. 1838, skończony (?) a właściwiej porzucony około 1851 r.) Jest on równie jak i fantazya Bohdana w połowie kroniką osobistą, w połowie powszechną.. Ale gdy utwór Zaleskiego przedstawia niby lotne pasmo igraszek pieśniarskich, niby galeryą szybko zmieniających się widm optycznych, mistrzowskie, choć stronną napiętnowane dążnością dzieło Zygmunta — w miarę czytania — rośnie i rośnie pod niebo, jak świątynia gotycka... Mimo różnych kierunków myśli i wielce różnego stopnia twórczej potęgi, obaj poeci starają się główniejsze epizody dziejowe w ramach poematu zamknąć, a co ważniejsza, obaj. niezadowoleni z bieżącej chwili, na łanach życia średniowiecznego widzą raj odzyskany i utracony... Ostatnie wiersze dopiero co zacytowanego ustępu jakże przypominają — podobną barwą filozoficzną kolorowane u Zygmunta obrazy „granitowego świata,“ gdzie „rżącego konia nikt już nie osadzi w stepie,“ gdzie „w zaroślach nie szczebiocą ptaki,“ a pośród grodów „bez świątyń i zamków“ — kupcy swarzą się o podłe zyski, tłumy zaś ludzi — robotników z okiem wiercącem w ziemi staczają się co chwila do wykopanych przez siebie dołów...

Pojedyńcze ustępy „Ducha od stepu,“ jak rozebrany już powyżej ustęp o Atylii i niektóre inne, pokrewne mu treścią (np. pieśń o słowianach przedchrześciańskich), są odznaczone istotnemi znamionami artystycznego piękna; całość wszakże poematu zarówno z powodu nieodpowiedniej przedmiotowi, bo zbyt piosenkowej i ulotnej formy, jak i dla wstecznej myśli, którą jest nacechowana, uważamy za chybioną.

(Dok. nast.)

Z PAMIĘTNIKÓW

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Dokończenie).

Lepszego użytku nie mogłem zrobić z zapasu mego; gdy więc zbliżył się beduin do swego ojca, podającego mu woreczek z tytoniem, wyciągnąłem z torby mój zwitek i położyłem go na wierzch woreczka. Spojrzał nań beduin, i cała radość prawdziwego palacza rozlała się na jego obliczu. „Szlachetne liście, zawołał, przykładając je do nosa, i wciągając w głąb piersi woń ich, szlachetne liście, jak rumaki Sakławii! — Zgadłeś, wychodzą z dworu Szacha.. Chciałem niemi pochwalić się w Frengistanie, ale twoja gościnność, ta woń kawy, która mnie dochodzi, i słyszysz to rżenie konia, co mnie czeka, mówią mi wyraźnie, że nigdy i nigdy lepiej i właściwiej nie przyjdzie tytoniowi mojemu rozlać się i zawiesić się nad głowami obłokiem błogości i wdzięczności. Gościnność, co dla cudzoziemca ma dar Mokki i Sakławii, i szeroko otwarte serce... zaprawdę więcej warta, niż cały Sziraz, ze wszystkiemi swoimi tytoniami i wysokiemi czapkami z czarnych baranków... Pobłażliwa i słodka mowa twoja jako zapach jasminu, rzekł uśmiechnąwszy się Arab, i zabrał się sam do przyrządzenia nargilu wedle wszelkich prawideł sztuki. — Po kawie, przy nargilu zapytałem się mego beduina, gdzie się tak dobrze po turecku nauczył, z czego jestem bardzo szczęśliwy, inaczej bowiem musiałaby się nasza rozmowa skończyć na Salem alejkum! — Ha! w Stambule!... odrzekł Arab i lice się jego jakimś posępiło smutkiem... i po chwili milczenia dodał: mówią, że to piękny język — może być, ale żebym każdego wyrazu nie oblał łzami, to wydałby mi się jak zielenina ślazowa, ckliwa, bez soli. Straszna to szkoła, niewola! „Jak to jessyr?“— Serder Ekram Omer Pasza, idąc z Damaszku do Bagdadu prosto przez pustynię drogą po pod górą Aradża, ułożył się o przejście z naczelnikami aszyretów wolnych, i wziął zakładników, i mnie dwudziestoletniego między nimi; nizamy jego starli się z beduinami i w łańcuchach wysłano nas do Stambułu... Nie wiem jak przez trzy lata nie wypłakałem oczu... o! miałem czas nauczyć się po turecku — i nie zapomnę nigdy tego języka, którego każdy wyraz wbijał się żelaznym ćwiekiem w serce moje... Od tysięcy ich, zatopionych tu pod żebrami na lewej stronie, rdzą się pokrył zegar życia mojego... i już tak czysto, tak dźwięcznie, jak dawniej, nigdy mych godzin nie bije! Umiem effendim po turecku!!! — Mimowolnie łza mi się w oczach zakręciła — pochwycił ją wzrok beduina drżącą na rzęsach i oburącz ująwszy mą rękę zawołał: „Przez Ałłacha.. ty wiesz co to jessyr!... ty wiesz co to stracić wolność!! ty wiesz jak pali łańcuch okutą nogę, jak przeżera kość, — jak suszy z korzenia czarodziejską palmę, którą Ałłach w każdej posadził duszy — palmę nadziei!... twoja łza mi powiada: ty znasz jessyr!“ — O znam go bracie!... i znam straszniejszy niżli twój... bo całego narodu mojego! Czy słyszałeś kiedy o Lechistanie, o wielkim, wolnym Lechistanie? — „Słyszałem... to ma być kraj, którego drogę pokazuje ztąd lewe koło woza, gdy jego dyszel jest w górze jeszcze — słyszałem o nim w Mekce od muslemów, co przyszli odbyć świętą pielgrzymkę... modlili się, aby ich Ałłach wybawił od Moskowa, która pożera wszystko w około siebie, miasta, ziemie, ludy... opowiadali mi, że Moskow, to straszna plaga, którą Pan zagniewany rzucił na świat, jak oliwy kroplę na kartę papieru... plama tej oliwy, nie wysycha... jeziora wysychają od słońca, ale ta plama rośnie od słońca,... rośnie, a zagarnięty nią papier żółknie, i porasta brudną karzawą!... Mówili mi, że Moskow zalał szeroki Lechistan, a dzieci jego gna w jessir... tam, tam pod tą gwiazdą, w około której chodzą wszystkie, a ona sama stoi... tam gdzie noc i śniegi!.. mówili mi, że ta straszna oliwa pokryje Stambuł, i rozleje się na cały świat, jeśli Ałłach nie wypali ją swojemi piorunami... Ałłach wielki i miłosierny!..

Podczas rozmowy naszej spostrzegłem wielkie czarne oczy, przez rozprutą nieco ścianę namiotu, patrzące na mnie; zmieniłem położenie i z ukosa przyjrzałem się śniademu owalowi prześlicznej twarzy — poznałem w niej typ beduinki mistrzowsko schwycony w szkicu Verneta, — no-

szący na sobie piętno wolnej, dzikiej, ognistej natury — i może pomimo szronem osypanej mej brody, puściłbym się w młode marzenia, gdyby od dawna nie powiedział mi był Arab, że niewiasta jest to tylko dromader, dany przez Ałłaha, do wygodniejszego i milszego przebycia pustyni życia; i gdybym na moje szczęście nie postrzegł, że ta piękność jak i wszystkie inne córy pustyni ma modro-sine wargi! Gdy takie choćby najcudniej wycięte usta otworzą się do uśmiechu, śnieżne półkole perłowych zębów wydaje się jak wyschłej fontany marmur wśród popiołów. Ciekawość beduinki rozszerzyła nieco szparę — podchwyciło na tej robocie moje oko... żółtą rękę z czerwonemi obrzeżonemi paznogciami, wynurzającą się z szerokiej srebrnej obręczy. Cóż z tego, że ta straszna ręka była drobna, najpiękniejszych kształtów, godnych dłuta mistrza, kiedy żółta... żółta jak jajecznica nieco przypalona! Odwróciłem głowę i począłem myślić o różnych różowych paluszkach, które kiedyś widziałem... ztąd daleko... chociaż nie jedne miały ostre pazurki — i naturalnie, o paluszkach mojej własnej pani, choćby dla tego tylko, że dotąd nie zadrapały mnie nigdy.

Po małej zakąsce z wybornego melona i smażonych na świeżem maśle daktylów, gdy słońce znacznie już się zniżyło — zarżały przed namiotem konie — uścisnąłem serdecznie rękę Araba, i wstałem z siedzenia. — Beduin, syn jego i ja dosiedliśmy koni, zaledwie zrobiliśmy parę kroków naprzód, gdy na zdumienie moje jakby z pod ziemi wyskoczył ogromny gepazd i w kilku susach znalazł się przed klaczą beduina, wsparł na niej żylaste swe przednie łapy; klacz się zatrzymała, oglądając się na swojego pana, jakby pytała, co zrobić. Zrozumiałem, że to gepazd oswojony i ułożony na gazele; Arab kiwnął ręką, i uszczęśliwiony źwierz zsunął łapy z piersi klaczy, stanął, wygiął się w pałąk, skurczył — i jak nagięta sprężyna, gdy zrzuca nacisk, strzelił w górę i znalazł się za plecami jeźdźca, gdzie się począł na pewne sadowić. Nie mogłem wyjść z podziwienia na widok tego wspaniałego zwierza, który pomimo swojej wielkości i siły wydawał się łagodnym jak baranek. W drodze opowiadał mi Arab jak się gepazd przywiązuje do swego wychowawcy, — że nikomu nie jest niebezpieczny, chyba, że się go rozdraźni biciem, że na polowanie bierze się go na konia w koszu, lub za siodło okrywszy go burnusem aby go gazele z daleka nie zoczyły. Gdy na pustyni jeździec znajdzie stado gazeli, pokazuje je gepazdowi, podjeżdża, o ile się da, i spuszcza go z kosza lub ze siodła na ziemię nie zatrzymując się, oddala się i poczyna krążyć około stada; gazelle przestają się paść, wznoszą szyję i całą uwagę zwracają na jezdzca, tym czasem gepazd przysuwa się, czołga z niesłychaną cierpliwością i przebiegłością — korzysta z położenia miejsca, z rowów, które deszcze zimowe tworzą, z rozpadlin któremi się jak siecią w czasie upałów pokrywa pustynia, i zbliża się na odległość kilkudziesięciu stóp do gazel, i jak piorun w kilku susach spada na wybraną ofiarę, której, jeśli zdoła ocalić się, nigdy nie ściga. Tym sposobem można upolować kilka na dzień gazel; rzadko gepazd chybia swą zdobycz, ale gdy mu to się nadarzy, wstyd go taki ogarnia, że smutny chowa się w kosz, i nie bywa, aby dał się już tego dnia nakłonić do polowania. Widziałem łowy na gazele z chartami i z sokołami, to ostatnie jest najmniej zajmujące, i trzeba być okrutnym prawdziwie, aby patrzyć na śmiertelne, rozpaczliwe skoki nieszczęśliwej gazeli, w której głowie sokół utopiwszy szpony, machając skrzydłami, dzióbem ją oślepia; zakrwawione biedne stworzenie, krąży prawie na miejscu, dopóki jeździec nie doskoczy i mąk jego nie skończy pchnięciem lancy, lub uderzeniem maczugi. Zdaje się, że gepazdowi nie podobała się próżna przejażdżka, bo gdyśmy zbliżali się ku statkowi, jak gdyby zrozumiał dokąd jedziemy, zeskoczył z klaczy — stanął, popatrzył chwilę za nami, i przeciągnąwszy się niedbale, zawrócił się do namiotów.

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Dotąd Florentczycy zbadali tylko ogólne linie natury, nie wchodząc w drobniejsze jej szczegóły. Przedstawiali oczom widzów doskonały rysunek ogólnych kształtów ciała przyobleczonego w draperyi, nie weszli jeszcze w mniejsze szczegóły, nie nadali szatom i wyrazom pozorów rzeczywistości. Szaty wybrali jak najbardziej architektoniczne i idealne, wyrazy kopiowali z natury, bez względu na to, czy one stosowne dla osób i chwil przedstawionych.

Podczas soboru zjawił się Florentczykom świat codzienny w postaci dziwnie ciekawej. Cesarzowie Wschodu i Zachodu wraz z papieżem zjechali do miasta. Może nie barwność strojów uderzyła wyobraźnię włoską, ale ważność dziejowej chwili nie mogła nie ożywić florentyńskich rozumów. Ktoby odrysował to, cosię wówczas roztaczało poprzed oczami mieszkańców toskańskiej stolicy, tenby już nie dał rysu ciała pojedyńczego człowieka, ten odzwierciedliłby obyczaj różnych narodów i zjazd będący widomym obrazem stosunków politycznych, religijnych i naukowych świata.

Podjął się tego dziejowego zadania Benozzo Gozzoli w Palazzo Ricciardi i stworzył tu w kaplicy wierne wizerunki cesarzy i papieży w ich strojach różnorodnych. Jadą po ścianach kaplicy pałacowej, już nie jako szemata ludzkie matematycznie drapowane, ale jako prawdziwi ludzie, tacy, jacy byli w danej chwili dziejowej. Są to portrety, ale dziwnie różne od portretów rzymskich, a przypominające obrazki po książkach dla dzieci. Nie apoteozował Gozzoli swoich postaci. Malował je takie, jakie były podczas rzeczywistej kawalkaty. Wiedział malarz, że każdy fałd szaty, że barwa konia, że kształt sokoła, mają wartość historyczną, i kopiował je tak, jak Masaccio ludzkie ciało kopiował, dokładnie i niewolniczo. A pozostał przytem Florentczykiem. Wszystko, co przemijało, usunął ze swoich wizerunków, nie zabawił się w żadną grę światła, i barwy wszędzie nałożył po prostu, jako historyk, nie szukając w nich piękności. Tak jak na tym obrazie, tak wyglądali pewno książęta owi w dzień szary i bezbarwny.

Ale gdy Gozzoli to malował, dowiedział się, że nie tylko w kształtach ciała jest myśl... Od chwili, w której formę we Florencyi badać zaczęto, zapatrywano się na nią, jak na wszystko matematycznie i filozoficznie, i przed Gozzolim widziano ją tylko w przestrzeni. Tu tylko wydawała się rzeczą stałą, wyszłą z myśli stworzenia i godną naśladowania. Gdy Gozzoli chwilę dziejową uwiecznił, domyślił się, że warto i to malować, co się z każdą chwilą zmienia i co przemijające piętno swoje nakłada na materyą. Ghirlandajo i Masaccio cenili każdy rys anormalny, byleby był trwałym, widząc w nim wynik powszechnego układu form wszechświata. Nie pojęli tego, że wypadkowość w czasie nie jest mniej wynikiem prawa i ładu. Cenili każde zagięcie ciała w stanie spoczynku o tyle przynajmniej, o ile było widomem z daleka, i o ile to miało większe w organizmie znaczenie; nie dbali wcale o szatę, która im się wydawała dowolnością ludzką i o wyraz, który przemijał.

Gozzolemu rozszerzył się widnokrąg. Dostrzegł, że nie tylko przez matematykę ujęte prawa perspektywy i morfologii są rozumne, dostrzegł, że nie należy tylko gonić za formami, które wynikły z myśli wszechświata, i że nie mniej ciekawemi formy, które są owocem myśli pojedyńczych ludzi. A więc najpierw strój, a potem wyraz, czyli przemijające nagięcie rysów pod wpływem uczucia. Tak opuszczając wyższe niby gonienie za duchem wszechświata, okazującem się w linii, wrócił do pierwotnego założenia pierwszych mistrzów i wyraził znowu duszę pojedyńczych ludzi.

Przedsięwziął tedy całą jednę ścianę w pizańskim cmętarzu zamalować. Obrał sobie przedmiot wyraźnie historyczny, i zechciał całą genezę na mnogich odtworzyć obrazach. Pełno w niej scen dramatycznych, pełno rozmaitego życia, i to było dla Gozzolego miłem polem popisu. Ogromne przestrzenie, na których mógł malować, nie starczyły dla jego wyobraźni. Gdy raz pomyślano, że warto wszystko malować, skoro wszystko wynikło z prawa, nasuwała się taka masa przedmiotów, że w każdym z dwunastu ogromnych ściennych obrazów musiano kilka scen różnorodnych pomieścić. Perspektywa tu dobra, rysunek doskonały, o ile się główniejszych idealniejszych linii tyczy, wszędzie nałożono barwy właściwe, i wszystko drga mnogiem życiem. Z tego życia okropność i smutek zbyt ciężki wykluczone. Namiętność zbyt silnie krzywiła twarze, i Florentczyk jej unikał. Choroba, rany, brzydota kalectwa gwałcą linie natury, a więc i one zostały obcemi Gozzolemu. Gdy wprowadzał grę wyrazów, i rozmaitość strojów, gdy uczuł po raz pierwszy całą pełnię życia, ukochał zdrowie, wesele, swobodę, pełność kształtów i rumieńce płci. W głębi pozakładał winnice, albo mury miejskie, a wszędzie, na każdym planie pełno ludzi. Królowie siwobrodzi jadą na koniu, dziewki rumiane i hoże niosą koszy z winogradem, lamparty uliczni pchają bezmyślnie palce do gęby, a wszystko to tak sobą potrąca, jak na targu. Melchizedech rusza na koniu koło Izaaka, a dwu Abrahamów obróconych do siebie plecami na jednym obrazie różne wykonywa czynności. Nie odróżnisz przedmiotów wcale, i dziejów świętych nie poznasz na tych freskach. Widzisz tylko codzienne rojne życie Toskany. Myślisz, że warto żyć zdrowiem tych rycerzy i chłopów, i cieszysz się wraz z nimi.

Jakaż to zmiana zaszła za niespełna sto lat. Obok malowideł Gozzolego malowidła Orcagni. Tryumf życia obok tryumfu śmierci. Po kazaniu ponurem naiwne wyznanie radości, którą sprawia oku linia każda, i barwa każda, byle była normalną i zdrową. O archeologii nie ma tu mowy, wszelkie konwencye draperyjne zarzucone, i wszyscy poubierani w modne piętnastego wieku szaty. Migają ostrogi, powiewają kity, śmiech się rozlega po tych tylko niby religijnych sce-

nach, i trywialne uliczne życie mało dba o objawienie.

Gdy się już raz wydało Florentczykom, że wszystko na świecie zajmujące, musieli przyjść do tego przekonania, że warto i najdrobniejsze szczegóły formy oddać. Mówię szczegóły formy tylko, bo Toskańczycy zawsze uważali, że barwa o tyle tylko godną uwagi, o ile stale się przyczynia do charakterystyki postaci. Gozzoli i jego szkoła zadawalniali łakomy wiedzy rozum florentyński, uwieczniając dla niego wszystko, co podpadało pod jego doświadczenie, i co uczucia żądnego wesela i zdrowia nie obrażało. Ale oni odtwarzali to tylko, co dało się odtworzyć na wielkiej ścianie, i co można było widzić z daleka, a poświęcali przy tem wszelką pretensyą do matematyki linii i draperyi.

Luca Signorelli, już dobrze przy schyłku piętnastego wieku wypowiedział ostatnie słowo florentyńskiej techniki. Umysł Toskany odwrócony od ogólnych i matematycznych poglądów na świat, przypatrywał się żądnie szczegółom istnienia, wynikom pierwotnej matematyki stworzenia. Ztąd to poszło, że nie tworzono już nic nowego w architekturze. Ztąd poszło wreszcie, że i ścienne malarstwo zarzucono, i że wrócono do obrazów mniejszych, które mogły wisieć w pracowniach uczonych, i w salonach lubowniczek, czyto platońskiej, czy też epikurejskiej filozofii, których było pełno we Florencyi. Obrazy takie miały być własnością prywatną i miały oku ciekawych amatorów zdradzać najdrobniejsze podskórne tętno ciała, to nawet, któreby uszło uwadze najwykształceńszego tłumu. Obraz taki nie odrazu miał całą piękność swoją odsłaniać. Znawca patrzący nań miał odkrywać coraz nową prawdę, to w nikłym cieniu, to w połysku oka, to w kierunku brwi; w miarę jak znawca na obraz patrzył, obraz Signorellego nabierał coraz nowego życia.

Przypatrzymy się temu mistrzowi w Dreźnie, gdzie się znajduje obok ślicznie wykonanych religijnych niby a w istocie rodzajowych miniatur, jego arcydzieło, obraz wykonany w trzeciej części naturalnej wielkości. Jest to obraz olejny, a że w nim widać postacie całe, dość spory jest jak na swoje pokojowe przeznaczenie.

U Signorellego, podobnie jak u jego poprzedników, widać zawsze na tle prawdziwe niebo. Tylko czasem bywa chmurne i szare, jak u Masaccia, a czasem błękitne, jednostajne, jak na pizańskich freskach Gozzolego. Pośrednich stanów nieba nie widać wcale. W tych dwu fizyonomiach dnia widzieli Florentczycy stany stałe, a więc jedynie godne pędzla, a barwa tła wcale nie stanowiła o oświeceniu obrazu. Zawsze postacie okazywały barwy normalne, a cienie tylko o tyle wybitne, o ile to było potrzebnem dla uwydatnienia kształtów ciała.

Otóż tu w Dreźnie niebo u Signorellego zupełnie błękitne. Wszędzie jasno, ale nie widać gry promieni słonecznych na wielkiej zielonej łące, w której głębi stanęła z daleka dojrzana Florencya. Rzekłbym, że światła nie ma; jest tylko jakaś jasność intelektualna, która pole ramami objęte ze świata wyrywa i w jakąś wyższą i trwalszą tameczność przenosi.

Na łące, wśród owego dnia niezrównanego, klękła silna, opalona kobieta, młoda jeszcze, a bardzo dobrej tuszy. Kobieta to opalona i sprawowana. Ma na sobie strój toskańskiej chłopki, składający się z wyciętego bronzowego gorsu, niezbyt starannie zasznurowanego z przodu, i z barwnej spodnicy. Praca i trud życia zostawiły już swoje ślady na dłoni i twarzy, a mimo to, owa wieśniaczka, co wśród wiecznego światła przebywa, bardzo zdrowa, swobodna i bezmyślnie szczęśliwa. Kładzie piękne bardzo, miękkie, pulchne, białe, zdrowe a zupełnie nagie niemowlę do kosza, leżącego na murawie, i patrzy się na nie obojętnym wzrokiem, jak to czynią najczulsze nawet matki, gdy po raz setny na dzień wykonywają obowiązek rodzicielski a zwłaszcza wtedy, gdy dziecko nakarmiły. A zdaje się, że matka owa dopiero co pierś dziecku dawała; tego przynajmniej każe się domyślać stan jej gorsu. Drugie, starsze już, a równie nagie i zdrowe dziecko bawi się tuż obok.

Nagość dzieci i światłość nieba przestrzegają, że ta scena nie odbywa się na ziemi, w zwyczajnem codziennem życiu, i że to Madonna cudem zjawiła się nad Arnem. Dziwi to tylko, że tą Madonna tak ze wszystkiem przybrała pozory pięknej zresztą, ale zupełnie ziemskiej i zwyczajnej chłopki. A podziwiać należy arcymisterną sztukę, za pomocą której Signorelli uchwycił naturę na gorącym uczynku.

Ten kierunek, kopiujący naturę, musiał zejść ostatecznie do portretu. Starożytność dowiodła już, że Włosi mogą być doskonałymi portrecistami, a wiek piętnasty już miał okazać, że duch narodowy się nie zmienił. Już *Masaccio* robił podobnoś czasem portrety, a teraz, przy końcu stulecia zasłynął w Sienie *Pinturicchio* jako portrecista. Malarz ten przypominał w ściennych swoich obrazach współczesnego choć starszego Gozzolego. W mnogich a niewielkich portretach tworzył dla krewnych i przyjaciół trwałe pamiątki. Są to obrazki małe, w których widać tylko głowy, o wiele mniejsze od natury, najczęściej z profilu rysowane. Są to postacie prawie zawsze męskie, ogolone, o długich gładko zaczesanych włosach, przyodziane w czarne aksamitne kurtki, takież krągłe czapeczki i wykładane kołnierze. *Pinturiechio* malował tych, co się malować kazali, bez wszelkiej własnej samoistności. Widzimy tedy zwykle na jego portretach ludzi brzydkich, starannie rysowanych, a dziwnie bezbarwnie malowanych.

Jako rzecz istotnie artystyczną, jako rzecz, w której można objawić swoje pojęcie piękna, pojął portret *Leonardo da Vinci*, nie o wiele młodszy od Pinturicchia uczeń Verocchia.

Był to w malarstwie dyletant raczej, niż człowiek rzemiosła. Bywały w wielkim świecie, wielki pan, dyplomata, muzyk, przyrodnik, matematyk, filozof, był wzorem tego, czem powinien być Florentczyk. Wszystko go zajmowało; do czego się tylko wziął, zawsze to robił doskonale, a miał to szczęście, że żył wśród nadzwyczaj intellektualnego otoczenia. Byłby był we Florencyi istnym anachronizmem, gdyby nie był lubił sztuki, a miał takie usposobienie, że skoro co lubiał, zajmował się tem czynnie. Malował tedy, rzeźbił i budował nawet, choć pora budownictwa była już minęła w Toskanie. Jako malarz jednak tylko zostawił po sobie ślad stały w sztuce.

Galeria degli Uffizii we Florencyi przechowuje w małym gabinecika maleńki portret wyszły z ręki Leonarda, a przypominający jeszcze Pinturichia. I tu głowę tylko widać, i strój ten sam co u syeńskiego portrecisty, ale twarz już do nas całkiem frontem obrócona. Syeńczykowi chodziło tylko o podobną sylwetę, Florentczyk dbał przedewszystkiem o wyraz, który się z frontu najlepiej uwydatnia. Ciemno bronzowe, ale jeszcze nie czarne, aż po szyję spadające, z lekka kędzierżawe włosy wykradają się z pod czapeczki krągłej, aksamitnej. Twarz siedmnastoletnia może, śmiertelnie blada, rozjaśniona dwoma ogromnemi, czarnemi, wprost przed siebie patrzącemi oczyma. Czoło szerokie i wysokie, ale gładkie, brwi ciemne i szlachetnie zagięte, nos grecki, usta pięknie wycięte, a napiętnowane wyrazem myśli i wzgardy, a podbródek ostry, szpiczasty prawie, naznaczony pośrodku głębokim dołkiem. Szyja długa i cienka, a porostu ani śladu jeszcze na twarzy. Zresztą twarz zachowała stopień pełności najprzystojniejszy młodemu wiekowi. O tuszy ani mowa, a nie znać również chudości.

Tło obrazu szare; ono samo przez się nic nie mówi, a służy tylko do uwydatnienia głowy.

Na tej młodziutkiej twarzy siadł przedwczesny pokój myśli. Myśl to ukształtowała owe wysokie czoło, myśl to taką bladość na przeźroczystą płeć rozlała, myśl to wreszcie tak roztworzyła owe głębokie czarne źrenice. Myśl dała snać już za wczesną wiedzę. Oko dziecka prawie tak jasne i spokojne, a tak przenikliwe, że ci duszę przejrzy, jak szybę szkła. Młodzian poczuł się wyższym od tłumu co jé tylko i śpi, więc usta drgają mu z lekka jakby wzgardą. Lecz ta wzgarda nie parsknie w śmiech. Pokój wielki wypisany na czole, a oko co śledzi, snać człowieka ceni i szuka rade w każdej duszy skarbów. I smętnej boleści nie zaznała dotąd myśl młoda. Nie zwątpiła jeszcze o tem, że można posiąść prawdę, i myśli dotąd, że prawdę posiada – a dziwi się może tylko, że się wszyscy nie cieszą tą widoczną prawdą.

Barwy tu mało, światło florentyńskie, a dziwnie we wszystkich najdrobniejszych szczegółach oddane życie obeszło się bez cieniów nagłych, światełek, zmarszczek i sztuczek. Wszystko występuje z ram i żyje.

Leonardo nauczył się u starszych towarzyszy pędzla cenić rzeczywistość i życie. Nie odstąpił tu od niej i nie odstąpił w niczem od technicznie doskonałej już szkoły. Nie gonił tedy za greckim ideałem, za górną abstrakcyą niebywałą na świecie. Wybierał tylko to, co było najpiękniejszem w rzeczywistości, i w tym jeszcze piękno uwydatniał. Myślał, że wtedy zbudzi w duszy widza przekonanie, że ten obraz prawdę mówi, i że przeto tem silniej duszę wzruszy.

Uważał tedy, że godnymi pędzla rysy bliskie greckiego ideału. Brał je jednak z życia, i choć mniejsze przypadkowe cechy twarzy usuwał, zachowywał to wszystko co nie mącąc nadto piękna przypominało rzeczywistość.

Jeźli w formie szukał tego, co było rzeczywiście bliskiem ideału, lubował się w innym porządku rzeczy, w tem wszystkiem, co mogło znamionować wyższość umysłu ludzkiego, i prawdziwą wagę chwili. Nie widział tego jedynie w obyczaju i stroju, ale w rozumie i ukształceniu jaśniejącem wśród obyczaju i stroju. Patrząc na tę twarz ramami okoloną, odgadujemy, że mamy przed sobą syna bogatych i możnych rodziców, co włos mu uczesali, płeć wypielęgnowali, i aksamitną czapeczkę na myślące czoło włożyli. Widząc dołek na podbródku, przypominamy sobie całusy matki. Patrząc na bladość, wspominamy bezsenne noce przepędzone na trudnej a ukochanej nauce. Młodzieniec ten wyszedł z arystokracyi, która wyjątkowo, niestety, zjednoczyła wykwint zewnętrzny i może nawet zniewieściały obyczaj z najwyższym i najswobodniejszym rozwojem umysłu, i z nieugaszonem pragnieniem

wiedzy i piękna. Leonardo sądził, że kwiaty, na takiej uszczknięte łodydze, godne podziwu i uwiecznienia, jako istoty wyższe od spracowanej albo znudzonej ludzkości powszedniej.

Sam Leonardo należał oczywiście do takich kwiatów, a że był i fizycznie zbliżonym do starożytnego ideału, malował i siebie. Portret własny mistrza znajduje się podobnież w tejże *Galeria degli Uffizii.* Portret ów, ma się rozumieć, w pełnem świetle i prawie całkiem z frontu modelowany, w najgłębszym pozostaje pokoju. Ma on na głowie czapkę sobolą i bogate, sobolowe, aksamitem podszyte futro na ciele. Jednę rękę schował pod ramy obrazu, drugą trzyma za futra kołnierz.

Cudnie, jak zawsze, malowany — czy może raczej rysowany — włos, i równie piękna i gęsta broda, spadają na ramiona i piersi. Włosy owe i broda, to pieszczona ozdoba światowca poważnego. Ma białą i delikatną dłoń, odwykłą od cięższej a nie umysłowej pracy, a tak się nie ogląda na aksamity i sobole, że zda się, w nich się narodził. O sobie nie myśli, na nikogo się nie ogląda, nikogo się nie wstydzi i nikomu się nie narzuca, pewny siebie. Jeśli za myślą gonił pędzlem, i sam myślał wiele, ale tak jak Bóg helleński, i tak samo bez trudu. Ma rysy Zewsowe prawie, i Zewsowe prawie ciało. Czoło tylko trochę z myśli wyłysiało, i trochę załamany nos, szaropłowe włosy i ciche szare oko czynią z tej potężnej a nieco bladej głowy śmiertelnika, postawionego w pełnym blasku ziemskiego szczęścia i u progu nadziemskiej mądrości, w której dziedziny zagląda z boskim pokojem.

Ale najsławniejszy i rzeczywiście najcharakterystyczniejszy portret Leonarda znajduje się w *salon carré* w Luwrze, w Paryżu. Jest to tak zwana *Mona Lisa la Gioconda,* niewiasta, o której jedni mówią, że była kochanką Leonarda, a o której drudzy twierdzą, że była żoną jego przyjaciela. To pewna, że stała się niewieścim ideałem artysty, malowanym stokroć przez niego. (C. d. n.)

Z NIEZNANYCH POEZYI

M. ROMANOWSKIEGO.

RAJ UTRACONY.

Nieraz gdyś miała uśmiech na twarzy
Myślałem sobie, żem ja na straży
Aniołem twojego wdzięku —
Nieraz — tyś ani widziała o tem —
Duch cię mój skrzydłem osłaniał złotem
Od bolu — od łez i lęku.

Twój świat był moim — za twem marzeniem
Umiałem cichym sunąć się cieniem, —
Twe życie przeczuć — zgadywać...
A kiedym nie miał twego widoku,
Senny — lecz z blaskiem natchnienia w oku
Siadłem — jak ptak — by śpiewać.

I zdało mi się, że całe życie
Będzie uśmiechem ducha w błękicie
I serca drżeniem w promieniach —
I tylkoś jedno: „zapomnij“ rzekła,
I duch się na dnie obaczył piekła,
A serce w mroku — i cieniach.

I stało im się pusto, — grobowo.
Z trudem pielgrzymkę podjęli nową...
A rwą się jak bezprzytomni...
Ciągle ku tobie — wiecznie do Ciebie,
I śnią i — tęsknią po swojem niebie —
Nad niemi twoje „zapomnij!“

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem na dole, w sieni hotelu, odegrała się druga, również interesująca scena. Gdy Jakób poszedł na górę z bukietem, niecierpliwy Tadeusz, oczekując jego powrotu i skutku misyi, z przyspieszonem biciem serca, przechadzał się po trotuarze przed hotelem. Korzystając z jego nieobecności, miejscowy stróż z rudymi faworytami, coś również w rodzaju Jakóba, ale w poprawnej już edycyi, słysząc ostatnie słowa kolegi, dotyczące owej miotły, postanowił zrobić mu figla, i cichaczem wyniósł ją z za bramy.

— No i cóż Jakóbie? — pyta niecierpliwy Tadeusz, zobaczywszy spuszczającego się ze schodów Jakóba.

— Wszyćko dobrze! kazały bardzo pięknie panu podziękować.

— I wzięły?

— A cóż nie miały wziąć... ta młodsza to zaraz powąchała...

— Powiedziałeś tak, jak ci mówiłem?

— Eh, wielmożny pan to widzę Jakóba ma za baj bardzo... cóż mi to pierwszyzna gadać z grafiniami!...

— No, to masz, przyjacielu, co ci obiecałem — rzecze uszczęśliwiony koncypient, wciskając mu dziesiątkę do ręki, i klepiąc go po ramieniu.

Jakób się skłonił uszczęśliwiony podwójnym datkiem, lecz w tej chwili spojrzawszy za drzwi bramy, zbladł jak ściana.

— A gdzie moja miotła! — krzyknie, poruszając drzwiami. — O rety! ktoś chwycił...

— Musi być, poszukaj dobrze...

— Szukajże pan, szukaj... no, jest, jest... niechże pan patrzy... A bodajże wciornascy wzięli z taką robotą, bodaj! No, widzicie, moi ludzie, kazać tu komu pilnować...

— Cicho bądź — mówi zawstydzony Tadeusz, bo na ten krzyk rozpaczy biednego Jakóba, pokazał się portier we drzwiach, i kilku stangretów z głębi dziedzińca zdążało ku bramie.

— Dobrze panu gadać, cicho bądź, a gdzie moja miotła? Mówiłem, jak komu dobremu, daj też pan pozor... no, i jakże pan dał... co ja też teraz będę robił, ha!

— Kup inną, a nie krzycz!... masz... i daj mi święty pokój — szepcze Tadeusz, dobywając portmonetki.

— Ale... kup... — powtarza sobie zakłopotany Jakób, szukając po wszystkich kątach zguby. — Naści kup... myśli pan, że to tak łatwo taką miotłę kupić... Nalatał ja się dosyć i gospodarz się nalatali... A bodajże temu ręka uschła, co wziął... No, no, żebym ja był duchem świętym wiedział, co mię takie nieszczęście spotka, wyrzekłbym się i szóstki i bukietu, i wszyćkiego... Oj! będzie też gospodarz krzyczeć, będzie...

Tadeusz drapnął przytuliwszy uszy, Jakób narzekał i szukał, a hotelowy stróż, stojąc z daleka i pykając z *porcynelki,* podnosił co chwila, niby do obtarcia nosa, niebieski swój fartuch, a właściwie, żeby ukryć śmiech przed oczami zafrasowanego Jakóba.

— Możeście wy wzięli, co? — pyta go miłosiernie.

Stróż kolega tylko wzruszył ramionami.

— Powiedźcie prawdę... miotłę kupić, to kupię nową, nie ma co rzec — ale takiej przyrychtowanej do mojej ręki, nie dostanę. Możeście wy, powiedźcie...

— Żebyście kupili gorzałki, to możebym wywróżył kaj ona jest...

— Dlaczego nie mam kupić?... Ino powiedźcie.

— A dacie kwartę?

— Bodajby i kwartę — odpowiada, skrobiąc się po głowie Jakób.

— No, to chodźta chłopcy do szynku — mówi stróż do stojących stangretów — a miotła się znajdzie. Walek! — rzeknie do swego chłopaka — wynieś no tę miotłę, co hań w wozowni stoi.

— Ja zawsze gadam swoje — peroruje już na ulicy Jakób — że te nasze ciarachy to do niczego! Głupiej miotły mu nie zostaw... a niby to uczone, piszą mądrze tranzakcye... niby nas chłopów za nic mają...

* * *

Nie mamy potrzeby słuchania dalszych wywodów o zdolnościach owych ciarachów, co się tyczy pilnowania miotły, jakie się toczyły między interesowanymi w pobliskiej szynkowni, a za to wróćmy się do naszego doktora Pawła, który z zakłopotaną miną chodzi i chodzi po swoim gabinecie, i myśli, i krzywi się, i ciągnie bez litości owe ulańskie wąsięta.

Licho mi też nadało urządzać taką głupią zabawę! fe, doktor niby, a taki dzieciak i letkiewicz ze mnie... Ta Ludka, rzeczywiście śliczności dziewczyna... ktoby to się domyślił, że z tej pyzatej i czerwonej Ludki wyrośnie taka piękność... Ot, głupstwo się zrobiło... trzeba się przyznać... a że się obrażą, nie ma co wątpić. No, i ten majątek nie do pogardzenia... Co to dziś znaczy sto tysięcy reńskich... sto-ty-się-cy... bagatela! Można nie jechać do Serbii, kpić z praktyki, spłacić Goldfelda, i założyć sobie dziennik, ale jaki dziennik? — nie tygodniowy jakiś świstek, ale polityczny dziennik, i rżnąć prawdę na złość tym arystokratom. Dopierożby się wściekali ci Stańczyki!... No, już mniejsza o pieniądze, mniejsza wreszcie o dziennik! — jednak, że ładna i miła — to miła. Co to za oczy, te nasze czysto litewskie oczy z małymi sińcami? Jak spojrzała na mnie, to mi aż serce zadygotało!... I nie głupia... o nie... hm... szkoda.

Kiedy się tak biedzi nasz doktor, naraz otwierają się drzwi, i poważna, czarno do figury ubrana osoba wchodzi nagle do pokoju.

— Pawełku, serce moje! — woła, rzucając mu się na szyję — tyle lat, tyle lat cię nie widziałam!

— Ciocia Wiktorya, ciocia najdroższa! — krzyknie, całując jej ręce z niekłamanem uczuciem radości.

— Ach, mój Boże! jakżeś mi ty moja duszko wyrósł, wymężniał... wyładniał.

— I zestarzał się, droga ciociu...

— A nie, nie, ślicznie wyglądasz... Ale powiedz mi, bo jestem niespokojna — rzecze, siadając na kanapie — odebrałeś mój list z Częstochowy?

— Odebrałem.

— I widziałeś je? prawda, były u ciebie... poznałeś?... Patrzajże, jakie to przebiegłe swawolnice; tylko przyjechały, zaraz niby to po rękawiczki, a poleciały do ciebie. Widzisz bały się, mój serdeńku... Ludka jest zachwycona — mówi, całując go znów w głowę... — Powiada, nadzwy-

czaj miły człowiek, a jaki stateczny, wcale nie trzpiot, ani postrzelony, jak stryj Anzelm cię opisywał... Mówi, to rozsądny, praktyczny mężczyzna... żadnych fanaberyi... Tylko, co to jest?— rzecze, przyglądając się przez okulary Pawełkowi — przysięgała się, że ty masz czarne włosy... No, przecież masz jasne... Cóż jej się przywidziało? — pamiętam i ojciec był blondyn i matka blondynka. zkądżeby u Pana Boga mogły urość czarne?

— Bo widzi ciocia — przerywa zmartwiony Pawełek — zrobiło się głupstwo.

— Cóż takiego? nie słyszałam o żadnem, — czyś sobie pomalował?

— Był tu mój kolega wtedy...

— Wiem, wiem, mówiły mi o tem; ale Ludka powiada, ten drugi, także podobno doktór, to jakaś narwana sztuka, jakiś poeta, czy marzyciel...

— Naprawdę, tak mówiła?

— Cóż ci to szkodzi, mój serdeńku, niech sobie będzie.

— Ale bo widzi ciocia, ten drugi, to ja.

— Cóż znowu? ty, to ty — a on..

— Kiedy mnie przyszła myśl głupia..

— Słucham, słucham, ale się nie obawiaj.

— Zamienić nasze osoby... on zarekomendował się jako Paweł Proszkiewicz.

— A to znowu co za historya? — zawoła oburzona ciotka.

— Chciałem im zrobić figiel za figiel..

— Błazen jesteś! — mówi, zrywając się nagle z kanapy, zaperzona od gniewu starowina. — Dobrze mówił stryj Anzelm, że tobie brakuje jakiejś klepki. Trzeba być... już nie wiem czem trzeba być... zepsułeś wszystko... Ona tamtego pod niebiosa wynosi. I cóż teraz będzie?

— Nic, moja ciociu — rzecze z płaczliwą miną Pawełek — pójdę, przeproszę...

— To wszystko na nic się nie zdało! wszystko przepadło. Oto mi doktór, oto mi poważny człowiek! Idź precz, brzydalu! — mówi, odsuwając od siebie całującego ją po rękach Pawełka.

— Moja ciociu, jak ona mi nie przebaczy, ja sobie w łeb palnę. Ludka jest zachwycająca... jestem w niej zakochany, nie widziałem jeszcze równie pięknej, równie rozumnej i miłej panienki.

— A widzisz.. no, i potrzeba to było tych psich figlów... kiedy ty będziesz miał rozsądek i statek?

— Moja ciociu, dopomóż mi.

— Jak tu dopomódz, kiedyś sam popsuł... już jej teraz nie wytłómaczysz... tamten się podobał...

— Jak Boga kocham, tak idę do Wisły i topię się — rzecze z desperacyą Paweł.

— Głupi jesteś! — zawoła ciotka z gniewem. — Cóż to?... Dawałeś sobie życie, żebyś go sobie śmiał odebrać, ty heretyku, bezbożniku, masonie jakiś.. Ubieraj się i pójdź ze mną, chociaż ja wiem, że wszystko na nic się nie zdało— kobiety są fatalistki i niczem ich nie przekonasz, jak im się kto nie podoba... A ubieraj że się... Myślałam żeś się przecie ustatkował, zapewniałam stryja Anzelma; namówiłam, żeby im kazał jechać...

— A przecież i tak byłyby jechały o tę sukcessyę...

— Jaką sukcessyę?

— No, po babce; mówiły przecież, pokazywały papiery po babce, która niedawno zmarła we Lwowie...

— W imię ojca i syna... ty duszko moja już umrzesz sowizdrzałem, jak Pana Boga kocham..

— Ależ, ciociu, słyszałem...

— Dajże mi święty pokój z tem wszystkiem! — Zkąd babka, jaka, czyja, gdzie, we Lwowie? ależ tobie się przekręciło naprawdę. Ubierajże się prędzej i chodź... A jaki to z ciebie niedołęga — mówi dalej, widząc że roztargniony Pawełek otwiera szafę i zamyka, przymierza jakieś tużurki i zdejmuje. — A jaki to nieporządny! Czegoż tak zostawiasz po krzesłach to ubranie?... Powieśże, fe... prawdziwy flejtuch!... Miałam też co trzymać do chrztu, miałam; żebym była przeczuła. że ty takim będziesz!... Oj trzeba ci żony koniecznie takiej jak Ludka, a i ona przecie moja chrzestnica... dałaby ona ci za taki nieporządek... Poczekajże, gdzież ten twój halsztuk? a toż na kark ci z tyłu idzie, masz szpilkę... przypnij... Oho, dobrze mówi stryj Anzelm: „co się łyse urodzi, to i łyse zginie,“ dobrze mówi... pamiętam, nie miałeś ani jednego włoska.

Otóż w ten sposób musztrując Pawełka, i gderając mu nad uszami, szanowna ciotka Wiktorya wyprowadziła go na ulicę, wzięła pod rękę, i pędziła co tchu do Saskiego hotelu.

— Macie go, macie, tego obrzydliwego sowizdrzała! — rzecze wchodząc do pokoju.

— Ależ ciociu, my nie ubrane! — krzyknie Ludka, chowając się w negliżu za fotel.

— No wyjdźże i poczekaj sobie w kurytarzu! — Cóż to, nie rozumiesz jeszcze tego, że nie wchodzi się do pokoju kobiet, kiedy się te ubierają?

Jak niepyszny, a przytem odurzony komendą ciotki, wyszedł rzeczywiście z pokoju na kurytarz, gdzie caluteńki kwandrans odbywając przechadzkę tam i napowrót, miał czas przygotować się do oczekującej go roli.

— Już można, pójdź! — rzecze, uchylając drzwi staruszka.

— Panie darują — rzecze, kłaniając się z zakłopotaną miną uśmiechniętym damom — tej dzisiejszej mistyfikacyi.

— Bardzo ładnie, bardzo — odzywa się pani Joanna, gdy Ludka, trzymając ów bukiet Tadeusza, zdaje się całkiem zajęta rozróżnianiem kwiatów, jakie go składają.

— Zrobiło się niedorzeczność, przyznaję, ale też i panie trochę temu winne...

— Ciekawa jestem w czem? — zapytuje Ludka, nie odwracając oczu od bukietu.

— Dlaczegoż było udawać nieznajome i chore?

— Któż panu powiedział, że ja nie jestem chora? Czy przedstawiłam się panu za kogo innego? — rzecze, oblewając Pawła obrażonem spojrzeniem.

— Jakto pstro w głowie, oj pstro! — dorzuca ciotka. — A niby to skończony człowiek, podróżował wiele, mieszka w wielkiem mieście... Patrzajże, tamten taki grzeczny, już przysłał bukiet... to mi jest mężczyzna, i wie, czem może zrobić przyjemność kobietom...

— Prawda, że piękny bukiet — popatrz pan? — mówi Ludka.

— Bardzo ładny...

Pawełek odrazu poznał ten bukiet, który tak niefortunną odegrał rolę z panną Emilią, i już miał chęć opowiedzieć jego historyę, lecz wstrzymał się, zauważywszy, iż byłby to rodzaj denuncyacyi na szkodę przyjaciela.

(C. d. n.)

LISTY Z KRAKOWA.

List drugi.

Jedna z naszych znakomitości w dziedzinie filozofii i psychologii, bawiąc przez pewien czas w Krakowie, ośmieliła się głośno i poważnie wyznać — jakoby stała ludność inteligentna Krakowa należała do temperamentu melancholicznego. Nie trudno było mu to poznać, albowiem ludzie obdarzeni tym temperamentem, mają budowę, czaszki wprost przeciwną ludziom o charakterach idealnych.

Jeżeli więc nie są idealni, muszą być praktyczni, energiczni, pracowici, muszą być bogaci, pomysłowi. Przemysł i handel pewno kwitną w tem mieście, zarobek jest łatwy, praca droga, wynajdowanie i eksploatowanie źródeł dochodu, szeroko rozgałęzione. Przypatrując się jednak bliżej naszemu grodowi, widzę wprost przeciwne objawy, zastój i ospałość. Wychylić się tylko z głównego rynku, a zaraz spotyka się z nędzą wszelkiego kalibru i rodzaju. Na tych podstawach zacząłem mego uczonego posądzać o zupełny brak znajomości przedmiotu, a tymczasem sam rozpatrywałem się w cechach i opisach temperamentów ludzkich, oraz w ich wpływie na społeczeństwo.

„Za jedno z największych zadań wychowania narodowego i hygieny ludowej, uważam coraz większe wykorzenianie temperamentu melancholicznego, zwłaszcza u kobiet.“

„Im więcej jest w jakim kraju kobiet charakteru melancholicznego, tem mniej tam radości i wesołości, tem więcej ciasnoty serca i przygnębienia ducha, a tem samem mniej szczęśliwości. Są przestrzenie ziemi, gdzie temperament melancholiczny ma bardzo wielu przedstawicieli obojej płci. Tam nie znajdujemy zgoła radosnej swobody ducha, ale owe stany psychiczne, które sprzyjają zabobonom i dewocyi; człowiekowi, cieszącemu się życiem, czynią pobyt obmierzłym, a istotną filozofię, jak i istotną poezyę, uniemożliwiają.“...

A złośliwy profesorze! — zawołałem przeczytawszy ten ustęp w „*Studyach nad kobietą*“ *Dr. Reicha.* Ty śmiesz o moich babkach, ciotkach i kuzynkach — tego rodzaju określenia dawać, pod tak straszny temperament podciągać ich instynkta, uczucia i myśli — ich pobożność, skromność i ciche westchnienia nad występkami bliźnich; ich spokój i domatorstwo — rozwagę i pewność siebie, ich chłód i oględność na jutro, surowość obyczajów i nieprzebaczanie drugim, choćby chwilowego zapomnienia.

Byłem po raz drugi i to wprost z przeciwnych powodów obrażony i rozgniewany na mego uczonego, i dla tego gorączka zbadania dokładnie całego przedmiotu nie ustawała.

Henryk Bossard o ludziach temperamentu melancholicznego mówi co następuje:

„Czaszka ich jest wielką, o czole wysokiem, ale z wierzchu płaska, prosta, często nawet w pośrodku wgłębiona, połączona z częścią tylną głowy, zazwyczaj bardzo wielką, nisko osadzoną.“

— Dwie z moich ciotek, pomyślałem, sławne na cały Kraków z jadowitości języka i wielkiego nabożeństwa dewotki, mają podobnie zbudowane głowy! — Przyjaciółka moich ciotek, i jej kuzynka, tak samo. Kiedyś zajmowałem się frenologią, a zatem nic dziwnego, że pamiętam skład nadobnych główek mych ciotek i ich przyjaciółek... Lecz czytajmy dalej:

„Ludzie tacy posuwają się naprzód po

drodze życia bardzo wolno, z rozmysłem i z rozwagą“...

— Kłamstwo, kłamstwo, panie Bossard, zawołałem, dwie moje ciotki, ich przyjaciółka, i jej kuzynka, posuwają się po drodze żywota i miasta Krakowa bardzo szybko. Koń naszych jednokonek nie nadąży im, gdy suną z kościoła do kościoła, z domu do domu, a sławne pytle amerykańskich młynów nie są w stanie obrotów ich języków prześcignąć... To określenie, panie Bossard, nie udało ci się!

Nieodrodna latorośli swoich ciotek, czytaj dalej, szepnęło mi zastanowienie...

„Zestawieni z człowiekiem idealnym, uczuciowym, pod względem prawdy, oświaty i miłości, wstecz się raczej cofają, czynią to zaś z zawiści ku szczęśliwszym od siebie!...

— Prawda, pomyślałem. Ciotki me ze wszystkiemi swemi przyjaciółkami nienawidzą wyższości umysłowej, a za to korzą się przed bogactwem, znaczeniem i tytułami.

„Nos ich“ — mówi Bossard...

— Ach! te nosy moich ciotek, haczykowate!... szepnąłem.

„Staje się z wiekiem skrzywionym, zwieszającym się, oczy są najczęściej wielkie, ale głęboko osadzone.“

— Tak, tak, te oczy, jak dwie sine, lub czarne latające plamy, spoglądają jak jaszczurki ze swoich jam, z za krzaków nastroszonych brwi, lub zlepionych kosmetykiem w groźny wał.

„Nie dają się przez nikogo prowadzić, czytam, owszem prowadzą, uwodzą innych i władają niemi przez podstęp i przebiegłość“...

— Żadna z moich ciotek nie była prowadzoną i nie dała się prowadzić przez nikogo, lecz przewodziła, gdzie jej się tylko udało. Moja biedna matka była ich męczennicą, tak ją przerażały, i tyle zawsze wygadywały na mego ojca za to, że posiadał w ich oczach, jedną, jedyną zbrodnię, był wesołym i lubił się zabawić. — Siostry moje drżą przed niemi. Gdy wchodzą, rozmowa ustaje, robi się cicho i ponuro, a wtedy oczy mych ciotek latają na wszystkie strony, migając złowrogim ogniem, bo pewno umysł ich pracuje nad nowemi kombinacyami oszczerstwa i plotek.

I znów po tej apostrofie, smutny i zgnębiony wracam do Bossarda.

„Wszelkie czulsze przyczyny przytłumiają całą siłą, gdyż dobroć uważają za słabość, miłość za głupotę, radość za lekkomyślność, a wszelkiej wesołości są nieprzyjaźni“...

„Ludzie swobodni, szczęśliwi, idealni, biedni i skromni, są dla nich nicponiami, lekkomyślnymi i występnymi.“

— Bossardzie, tyś się musiał urodzić w Krakowie — wybuchnąłem i czytam dalej:

„Skryci są aż do śmierci o rzeczach, które celom ich służą; natomiast zaś prowadzą do upadku najszlachetniejszych ludzi przez kłamstwa i oszczerstwo. Sami nigdy do walki otwarcie nie występują, ale prowadzą ją w ukryciu, zawsze mądrze obmyślając i na pewno zadając ciosy śmiertelne, do czego niewinni głupcy za narzędzia służyć im muszą. Zaślubiają jedynie tylko jednako usposobione osoby wyższych stanów, albo nie wchodzą wcale w związki małżeńskie; małżonek posiadać musi stanowisko i pieniądze, dla tego damy tego temperamentu, pozostają najczęściej niezamężne!“

„Czułości, gorącej i ognistej miłości nie mają zgoła. Zimni, nieczuli, niemiłosierni, sami nie ulegają nigdy wzruszeniu, wszystko bowiem w świecie, wyjąwszy swych idei i poglądów, uważają za głupstwo“.

— Bossardzie, ty pewno jesteś zakapturzonym demagogiem! Musiałeś długi czas bawić w naszem miasteczku, obcować z memi ciotkami i ich przyjaciółkami, z mymi wujami i ich przyjaciołmi, a wygryziony przez nich za swą demagogią, mścisz się i spotwarzasz swoich znajomych, dagierotypując ich usposobienia zbyt czarno. O ile zachwycałem się z początku twym opisem, o tyle przy końcu poczucie słuszności zwyciężyło mnie, i dla tego posądzam cię o zemstę i złość, chociaż ci nie odmawiam głębokiej znajomości serc i charakterów ludzi, zamieszkałych na naszym partykularzu krakowskim.

To mówiąc rzuciłem książkę, a sam zasadziwszy kapelusz z fantazyą — to jest nieco na bakier — wyszedłem szepcąc sobie:

— Ho ho! tak źle nie jest, demagogi, farmazony, oskarżacie nas — a czy tak, czy siak, królestwo niebieskie nam się dostanie, bo o ziemskie — nasze, polskie, mało dbamy.

Uszczęśliwiony tym wnioskiem, zacząłem się uśmiechać — iść żywo i wywijać trzymaną w ręku laseczką. Naprzeciw mnie szła czarno ubrana i zakwefiona dama. Domyślając się, że to jedna z przyjaciółek moich ciotek, zrobiłem jej miejsce na chodniku, z właściwą mi żywością i znaną światu elegancyą. Dama spojrzała na mnie z *pode-łba*, muszę się tak wyrazić, bo nie mogę napisać z pod głowy, i przeszła ponuro, milcząca. Byłem w dobrym humorze, wszystko więc widziałem w różowych kolorach, a zatem ponurość i mars przyjaciółki mojej ciotki wytłomaczyłem sobie również różowo i z animuszem wpadłem na kieliszek wódki do Redolfiego.

Około bufetu stali mężczyźni bardzo poważni i zamyśleni — mierzyli mnie w milczeniu zimno od stóp do głów z pewnym rodzajem spokoju i apatyi, jedząc z bogobojną skruchą ciastka, a tajemniczo pijąc wódkę. Zaledwie odosobnione pary odważyły się między sobą szeptać urywane frazesy.

Melancholiczne temperamenta i Bossard ze swemi oskarżeniami przeszły mi przez głowę, lecz znów się uśmiechnąłem, każąc sobie wyraźnie z pewną energią podać wódki.

— Moi panowie ostatnia mowa Gambetty zachwyciła mnie, odezwałem się swobodnie i głośno, stawiając próżny kieliszek na stole.

Nikt mi nie odpowiedział, zrobiło się koło mnie pusto, obecni w cukierni zebrali się w małe kółka, odwracając się odemnie, poszeptali między sobą, zjedli jeszcze ponuro po jednym ciastku, popłacili i wyszli.

Patrzałem za nimi. „Czaszki ich były wielkie, czoła wysokie, tyły głowy potężnych rozmiarów“...

— Ach Bossardzie — pomyślałem, dla czego i za co prześladujesz mnie nieustannie swemi teoryami.

— Przepraszam, zawołał, wychodząc z drugiego pokoju, okazały, rumiany na twarzy, uśmiechnięty jegomość, czytałem list i nie mogłem pospieszyć, aby z panem pogadać! Mówiłeś pan o mowie Gambetty — wyborna, doskonała, wyśmienita!...

— Pan dobrodziej, albowiem był dużo starszym odemnie — pewno nie tutejszy — przerywam politykę zaciekawiony — kto zacz taki śmiały i otwarty?

— Z za Wisły, mości dobrodzieju.

— A to co innego, odparłem — i nuż wtedy obrabiać Mac Mahona, Disraelego, Derbego, a śmiać się z Bismarka... Nagadawszy się do woli:

— Tak to lubię, rzekł mój zawiślanin, — człowiek się wygada, wyśmieje, wybawi i potem jakoś raźniej i ochotniej idzie do pracy.

Ten ludek krakowski jakoś dziwnie podupadł, dawniej znany był z odwagi i wesołości, dziś boi się samego siebie.

— Prawda, święta prawda, dodałem, boi się samego siebie, a taka niewola cięższą jest od egipskiej i babilońskiej.

— To ci nie my wszystkiemu winni, zahuczał zawiślak, pogroził i wąsa podkręcił.

— W takim razie baliby się Niemców, gdy oni boją się samych siebie, zrobiłem uwagę.

— Ale bo ich Niemcy wynarodowili!..

— A własna apatya, zawiść i plotka, dogryzły, dokończyłem.

Rozstaliśmy się z zawiślaninem, przyrzekłszy sobie dozgonną przyjaźń, gdy ja mając literacki interes poszedłem do księgarni.

Towarzystwo w księgarni podobne było do towarzystwa u Redolfiego, więcej tylko poważne i uroczystsze. Niektórzy panowie szeptali cicho z księgarzem, drudzy w skupieniu ducha przerzucali kartki książek trzymanych w rękach

— Proszę o historyę cywilizacyi Buckle'a, odezwałem się może zbyt porywczo, lecz zawsze poważnie i stanowczo, przerywając ciszę.

Książki trzymane w rękach zniżyły się. aby oczy mogły z po za nich wyjrzeć, spokojnie, martwo, nawet na pozór, lecz w tej martwości tkwiło coś, co mogło przerazić lękliwego.

— Nie ma, odpowiedział mi sucho i drewniano księgarz.

— Szkoda, rzekłem, odwracając się do towarzystwa, bo aczkolwiek brak Buckle'mu jednolitego systematu i w dowodzeniach nieraz czuć umyślne naciąganie — nie można mu w każdym razie odmówić w wysokim stopniu oryginalności i twórczości...

Nic mi nie odpowiedziano, lecz na ustach ludzi w księgarni, ukazał się krótki uśmiech i znikł.

Nareszcie księgarz przerwał duszącą ciszę:

— Panie, tu jest księgarnia katolicka — poczem zaczął rozmawiać energicznie z jedną z obecnych znakomitości...

Drażniony przez niegodziwego Bossarda, poszedłem do biura, a siedząc parę godzin przy zielonym stoliku nad aktami, zapomniałem o przelotnych wrażeniach dnia. Nazajutrz odwidziłem matkę mej narzeczonej i samę narzeczoną.

W salonie zastałem towarzystwo złożone z samych dam. Starsze siedziały na kanapie, młodsze na fotelach i stołkach. Matka mej narzeczonej przyjęła mnie mocno zmieszana, nawet zbladła podając mi rękę, a narzeczona nie śmiała się ze mną przywitać.

Damy na kanapie i fotelach na mój serdeczny ukłon odpowiedziały mi problematycznem kiwnieniem głowy, stanowiącym środek między ukłonem a chęcią dania mi uczuć, nie chcemy cię znać.

Wiedząc, jak jest złym tonem wyłącznie zajmować się narzeczoną, usiadłem przy jednej z córek znanej przyjaciółki mojej ciotki, bawiąc ją rozmową żywą i dowcipną, o ile mnie tylko stać na taką było. Panienka z początku odpowiadała mi dość swobodnie, otrzymawszy atoli od mamy wymowne spojrzenie zamilkła, a po po

wtórzonym telegraficznym znaku oczami powstała, porzucając mnie, aby usiąść przy swej mamie.

Domyślałem się, że coś jest, musiałem popełnić jakąś zbrodnię, o której nie wiem, i dla tego usunąwszy się na bok, milczałem zatopiony w myślach, gdy tymczasem serdeczna przyjaciółka mej ciotki powstała gwałtownie przeciw demagogom, bezbożnikom i nałogowym.

Słuchałem obojętnie tych wywodów, powtarzanych nieustannie w bawialnych pokojach moich dzielnych ciotek.

Po wypowiedzeniu jednej i drugiej tego rodzaju tyrady towarzystwo poważnie i majestatycznie oczekiwało na przynależną mu kawę, prowadząc obojętną rozmowę o strojach, modach i plotkach, traktując honor, przyszłość, stanowisko i reputacyę ludzi z równie zimną krwią jak krój sukni, lub dobroć poziomkowych lodów u Redolfiego.

„Czaszki ich“... szeptał mi nieznośny Bossard do ucha, lecz odpędzałem tę myśl jak uprzykrzoną naukę.

Głównym probierzem do wydawania sądu o ludziach i jedyną miarą ich wartości były urodzenie i majątek. (Dok. nast.)

Piśmiennictwo niemieckie.

(*Fryderyk hrabia Skarbek. Dzieje Polski. Część III. Królestwo polskie po rewolucyi Listopadowej. Wydanie pierwsze pośmiertne. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1877.*)

Śmierć Aleksandra I, cesarza rossyjskiego, była bardzo ważną chwilą w dziejach Polski i Moskwy. Przedstawiała ona nader pomyślną dla obu narodów sposobność zdobycia odpowiedniejszych warunków dalszego rozwoju. Towarzystwo patryotyczne, które zgromadziło w swem łonie niemal wszystkich czynnych patryotów polskich, było jeszcze w całej swej sile; na Ukrainie stała stupięćdziesięciotysięczna armia, ochwycona siecią spisku Pestla i Murawiewa-Apostoła; na północy w okolicach Petersburga na skinienie Rylejewa rzuciłaby się w ogień druga stutysięczna armia; wreszcie cała niemal światlejsza Rosya, a przynajmniej wszystkie jej znakomitsze rodziny wzięły udział w rewolucyjnej organizacyi, która miała obalić carski despotyzm. Że z tej chwili nie skorzystano jak się należy, główna wina spada niestety na Polaków. „Spiskowi Rossyanie — powiada Mochnacki *) — rzecz swoję i polską dobrze pojmowali, przystępowali do układów z otwartością, z dobrą wiarą, lecz niestety nie znaleźli w polskim związku czego szukali: wzajemnej otwartości i tej samej co ich ożywiała chęci wspólnego działania. Krzyżanowski i Jabłonowski mieli w swem ręku los północy.“

Upuściwszy tak stosowną chwilę do powstania i pozwoliwszy niejako despotyzmowi carskiemu zdusić strasznego wroga, który podkopywał jego istnienie w samem gnieździe, Polacy siłą rzeczy *zmuszeni zostali* chwycić za broń w końcu 1830 r. Czy mogliśmy wobec bezprawia i gwałtów, dokonywanych nad narodem, spokojnie czekać na zupełne dojrzenie owocu samorządu naszego, jakby tego Skarbek pragnął? „Na to zapytanie, najpierwej to odpowiedzieć trzeba, że *nie powstać*, to jest dłużej pozostać w tym samym stanie, pod absolutyzmem cara, nie było w naszej mocy; a powtóre, iż choćbyśmy mogli byli dłużej wytrwać w tym samym stanie, choćby moskiewskie jarzmo mniej było nieznośne dla Polaków, to i w takim nawet przypuszczeniu nie powstać śród owczesnych zewnętrznych i wewnętrznych okoliczności, które się tak widocznie uśmiechały powstaniu, byłoby z naszej strony *nikczemnością i nierozumem.*“ (Mochnacki, str. 34)

Dla czego powstanie 1830 i 1831 r. miało wszelkie warunki powodzenia i dla czego nie udało się, wyjaśnili dostatecznie Mochnacki i Mierosławski. Zaskorupiona przez ludzi takiego autoramentu jak Skarbek w egoizmie szlacheckim i prowincyonalnym, kongresowa Polska nie umiała skorzystać z potężnej broni, jaką dawały jej w ręce: rzucenie zbrojnej siły na Litwę i Ruś, i równoczesne ogłoszenie szczerej a całkowitej wolności chłopom. Nie ta więc ręka, co się kusiła zerwać owoc wolności, była świętokradzką, jak mniema Skarbek, lecz owa ręka, która przeszkodziła jego zerwaniu. Godzi się potępiać nie tych, co czując całą hańbę jarzma, chcieli je obalić; lecz tych, co mając siłę i znaczenie w samorządzie krajowym, nie wzięli się gorliwie do spotęgowania sił Polski. Błędnie mniema Skarbek, że spostrzeżono się po niewczasie, że upadek Polski ztąd wynikł, iż włościanom żadnych praw nie przyznano (str. 123). Wiedziano już o tem za czasów powstania Kościuszki; lecz wolano raczej znosić jarzmo cudzoziemskie, aniżeli się zrzec dobrowolnie niesłusznych przywilejów. Sam Skarbek, skoro nie powoduje nim niechęć do demokratów, czyli — jak ich zawsze nazywa — demagogów i socyalistów, słuszny czyni wyrzut klasie posiadaczy ziemskich, że „zaniedbali wejść z włościanami, w ich dobrach osiadłemi, w tyle pożądane stosunki, któreby im przychylność tychże zapewniły i pozwoliły znaleść w nich wzmocnienie tej *siły odpornej*, jaką przeciw rządowi stawiali“ (str. 95). Czy pomimo głosów Staszyca, Kołłątaja, Sułkowskiego, Kościuszki, jenerała Kniaziewicza, obywatele ziemscy w ciągu niemal 40 lat tj. od czasu ustanowienia Księstwa Warszawskiego, zajęli się szczerze ludzkiem ustaleniem stosunków swoich z włościanami? Niech na to odpowie sam hrabia Skarbek. „Wyznać z żalem winniśmy — powiada — że obywatele ziemscy, pomimo zniesienia poddaństwa przez konstytucyę Księstwa Warszawskiego, zachowywali bez zmiany tradycyjne obowiązki pańszczyzniane i inne powinności, jako to: darmochy, daniny, najmy przymusowe, na zwyczaju tylko oparte; że prócz małych wyjątków nie zawierali umów dobrej woli o posiadanie gruntów przez włościan swoich. Przytem mniej legalnie jeszcze dopuszczali się rugowania gospodarzy zaciężnych z gruntów oddawna przez ich rodziny uprawianych; że słowem, sami usprawiedliwili poniekąd i poparli zamiary rządu, odebrania sobie przewagi nad włościanami i zniesienia przywilejów własności gruntowej, przez żadne pisane prawo nieuświęconych“ (str. 148 i 149). Kto więc, mogąc założyć silne fundamenta dla przyszłej Rzeczypospolitej polskiej, tego nie uczynił, niech raczej za występnego osądzon będzie!

Złoczyńca, dopuściwszy się zbrodni, najczęściej zabija ofiarę, by zatrzeć wszelkie ślady sromotnego swego czynu. Zaborca to samo czyni z podbitym narodem. Psychologiczna pobudka jest u obu jednakowa. Wątpić przeto nie podobna było, iż z upadkiem powstania 1831 r., rozpocznie się zagłada narodu polskiego. Osobisty charakter Mikołaja usposabiał go wyśmienicie do tej roli. Pyszny, mściwy, twardego serca, ograniczonego rozumu, znał tylko jednę potęgę, potęgę strachu i nią rządził. Występując przed azyatyckimi narodami, miał zwyczaj odbywania wszelkiego rodzaju przeglądów w towarzystwie dwóch katów, którzy wnet na miejscu na skinienie monarchy spełniali swą czynność. W Polsce kongresowej takim katem z usposobienia był książę i hrabia Paszkiewicz. „Morderca — powiada Skarbek — mniej jest winnym i okrutnym, gdy odrazu zabójcze żelazo w sercu ofiary swej utopi, niż gdy jej cząstkowe zadaje rany i zwolna krew z żył jej wysącza, dopóki w niej życie całkowicie nie zgaśnie“ (str. 209). Narodu jednak w Europie i w XIX stul. odrazu zabić nie można, pomimo najszczerszych chęci tyranów; muszą więc zwolna zatruwać i kaleczyć organizm, aż nadwątlony cierpieniem straci wszelkie poczucie ciążącej nad nim niewoli, a dopiero wtedy śmierć samoistności narodowej przychodzi sama.

Naprzód nasycono żądzę zemsty. Wprawdzie ogłoszono amnestyę, ale w niej porobiono tyle wyjątków, że liczba ofiar zawsze była ogromną. Tysiące jeńców wojennych wcielono do wojska rossyjskiego. Małych chłopców wyłapywano po kraju i wywożono w głąb carstwa. Synów jenerałów i oficerów polskich, poległych w wojnie, zabrano do korpusów rossyjskich. Wszystkim żołnierzom i podoficerom byłego wojska polskiego rozkazano zaciągnąć się do wojska rossyjskiego; stopni oficerskich, nadanych podczas rewolucyi, nie uwzględniono. Bibliotekę i zbiory Towarzystwa przyjaciół nauk, jako zdobycz wojenną, wywieziono do Petersburga, tak samo postąpiono i z większą częścią biblioteki uniwersytetu warszawskiego. W samem Królestwie kongresowem zabrano 2625 osobom majątki. Obywateli upokarzano, każąc podawać im adresa do cara i wyprawiać bale dla ciemięzców. W kwietniu 1832 r. z rozkazu Paskiewicza udała się nawet deputacya do Petersburga, pokornie wyznając winę i błagając o przebaczenie „za powstanie przez garstkę burzycieli wzniecone.“ Walenty ks. Radziwiłł odczytał tę nikczemną mowę, „której jako Polak i człowiek niepodległy, nie powinien był odczytać, gdyby był miał poczucie godności i obowiązków obywatelskich“ (str. 16), — powiada nawet Skarbek z oburzeniem.

Następnie rozpoczęto zagładę narodową. Zniesiono konstytucyę, a natomiast ogłoszono statut organiczny, który nigdy nie wszedł w wykonanie. Zamiast praw zapanowała samowolna i nieograniczona władza namiestnika. Samorząd kraju zwolna niweczono. Zamiast Rady stanu w Królestwie, ustanowiono w Petersburgu departament do spraw polskich, najwyższe sądownictwo poddano pod zwierzchnictwo rossyjskiego ministra sprawiedliwości, tak samo oddano ministrom petersburgskim dyrekcyę komunikacyj lądowych i wodnych, pocztę, wychowanie publiczne i cła na granicach królestwa pobierane. Język rossyjski z biur namiestnikowskich, przeszedł do komisyi spraw wewnętrznych, zapanował na poczcie, wdarł się do gimnazyów, czyhał na szkoły ludowe. Polskie nazwy zamieniono rossyjskiemi i przestały istnieć województwa i obwody, a zaprowadzono gubernie i powiaty; zamiast złotych i groszy kazano rachować na ruble i kopiejki; zamiast korcy nakazano mierzyć na czetwierti. Szypow, jeden z dyrektorów komisyi spraw wewnętrznych, chciał nawet ludność całą przebrać po moskiewsku, odstręczając od ubiorów polskich rózgami, a rublami zachęcając do kaftanów rossyjskich. Wszystkie niemal ważniejsze posady w Kongresówce pozajmowali Rossyanie, bogacąc się na urzędach łupieżeniem mieszkańców. Mnożono szlachtę rossyjską, bezpłatnie rozdawając dobra narodowe jenerałom i wyższym urzędnikom rossyjskim; postanowiono nawet potworzyć kolonie chłopów rossyjskich, ale kosztowna i bezowocna próba założenia kolonii pod Modlinem powstrzymała chwilowo gorliwość najezdców. „Bez względu, że na tem ludzkość, sprawiedliwość i oświata cierpieć miały,“ prawo karne polskie cofnięto do pierwotnej nieudolności prawa rossyjskiego. Chciano to samo uczynić i z prawem cywilnem, kodeksem Napoleona. Komisya, wyznaczona w tym celu, „przygotowała już projekt do nowego prawa, obalając główne podstawy wzorowego naszego prawa cywilnego, i wprowadzając natomiast zasady wsteczne, na różnicy stanów i na kastowych przywilejach oparte; zasady, przeważnie widokom i samowolności rządu odpowiadające, które raczej ze średniowiecznemi i wschodniemi tradycyami, niż z nowoczesnemi wyobrażeniami i potrzebami cywilizowanego narodu, zgodnemi były.“ (Str. 157.) Zawdzięczając tylko opieszałości biurokracyi rossyjskiej i skrupułom naukowym senatora Starynkiewicza, Kongresowa Polska nie została obdarzona tym świetnym wzorem mongolsko-suzdalskiej mądrości. Jak widzimy więc, dzisiejszy rossyjski rząd kończy tylko to, czego Mikołaj spełnić nie zdołał. Że Kongresówka jeszcze wtedy nie przestała istnieć zupełnie jako oddzielny kraj z jaką taką samoistną administracyą, wypływało z pobudek osobistych Paskiewicza. „Sam postępował samowolnie i despotycznie w kraju, ale usiłował nie dopuszczać tego, aby ministrowie cesarstwa prawa i instytucye Królestwa niweczyli. Toczył z niemi ciągle walki nie tyle o prawa narodu, którym rządził, ile o prerogatywy własne, i nie cierpiał lub znosił z niechęcią każde odrywanie od administracyi Królestwa i połączenia do naczelnych władz cesarstwa jakiegokolwiek miejscowego zarządu.“ (Str. 77.)

Szeregiem ukazów i rozporządzeń osłabiając społeczny polski organizm, równocześnie zatruwano go gangreną demoralizacyi, ogłupienia i pognębienia materyalnego. Służbę administracyjną doprowadzono do takiego spodlenia, „iż przekupstwo i branie datków za nieprześladowanie lub niepodanie denuncyacyi wcale już za czyn, uwłaczający godności osobistej, nie uchodziło.“ (str. 73.) Przyszło do tego, „że widziano u nas urzędników sądowych wynagradzanych posu-

*) Dzieło Maurycego Mochnackiego. T. II. Poznań, 1863. Str. 250 i 251.

nięciem na wyższe stopnie lub honorowemi nagrodami, już to za występne przeważenie szali sprawiedliwości w sprawach niesłusznych, przez rząd popieranych, jużto za zręczne zatarcie śladów lub zniweczenie dowodów zbrodni, przez dygnitarzy i ulubieńców rządu popełnianych. Widziano urzędników policyjnych, wynoszonych do wyższych dostojeństw za wchodzenie w podstępne zmowy ze zbrodniarzami i używania ich do wciągania w zasadzki nieroztropnych obywateli, od których pod groźbą katuszy, haniebne okupy pobierali. Takim poczytywano za zasługę, jeżeli za pomocą ajentów swoich zdołali odkryć utworzone przez siebie zbrodnie stanu i oddać niewinne ofiary w ręce mściwych gnębicieli. Nie miano za złe urzędnikom administracyjnym żądania i pobierania datków, skoro ciż dawali dowody zupełnego poświęcenia się służbie rządowej; ale obok tego wyżsi zwierzchnicy, którzy sami znani byli z pobierania kubanów, występowali nieraz srodze przeciw niższym podwładnym sobie, za przyjęcie małoznaczących datków, skoro ciż ze strony wierności i poświęcenia nie byli dobrze widziani u władzy. We wszystkich niemal dostawach i przedsiębiorstwach, kosztem rządu dopełnianych, był zawsze jakiś wyższy urzędnik rosyjski lub na takiego przekształcony, który niewidzialną ręką kierował czynnością i kazał ją poruszać temu, co łaskę jego poprzednio najlepiej okupił sobie.“ (str. 78 i 79.) Szpiegostwo, protegowane i hojnie wynagradzane, do zatrważających rozrosło się rozmiarów. W wielu domach rodzice wystrzegali się swych dzieci, brat nie ufał bratu.

Szczegół to jest godny uwagi tych wszystkich, co się oburzają na zmateryalizowanie dzisiejszego pokolenia, na straszną truciznę pozytywizmu. Nic podobnego temu, co się działo pomiędzy 1830 i 1846 r., nie będą w stanie dzisiaj wskazać. Tyle upodlenia przedstawia chyba jedna tylko rozbiorowa epoka! Warszawa zwłaszcza w tej epoce zasłynęła z wyuzdanej swej rozpusty. Była pewnym rodzajem raju ziemskiego dla oficerów rosyjskich. Słyszeliśmy nieraz, jak z lubością przypominali owe błogie czasy. Słynny bowiem Abramowicz, ówczesny oberpolicmeister Warszawy, protegował balet, szpicbaliki i nierządnice. Dogadzając zmysłowym usposobieniom sług carskich, równocześnie zastawiano tem sidła na młodzież polską, by brucząc w kałużach brudu, pozbywała się wszelkich szlachetniejszych uczuć. Słusznie uważając oświatę za potężną nieprzyjaciółkę despotyzmu i niewoli, starano się także wszelkiemi sposobami poniżyć. Zniósłszy uniwersytet w Warszawie, zabraniano wysyłać młodzież na naukę za granicę, a na uniwersytetach rosyjskich ograniczono jej liczbę do 300. Kursa pedagogiczne i prawne, ustanowione niejako z konieczności, istniały tylko chwilowo. W gimnazyach starano się, aby młodzież nie zajmowała się naukami, któreby ją do wyższego umysłowego życia doprowadzić mogły i aby ucząc się pamięciowo i wierząc ślepo w to, co jej wykładano, nie myślała samodzielnie i nie uczyła się rozumować i wnioskować.“ (str. 85.) Wreszcie i tej nauki poskąpiono młodzieży. Książę Szyryński-Szychmatow, minister oświaty, a prototyp dzisiejszego hrabiego Tołstoja, podwyższył znacznie opłatę szkolną, a nadto chłopcom nieszlacheckiego i nieurzędniczego pochodzenia zamknął bramę gimnazyalną. Edukacyę prywatną utrudniano także. Nauczyciele prywatni musieli podpisywać deklaracyą, że w wykładach swoich stosować się będą do przepisów rządowych i donosić władzy, jeżeliby rodzice tego czynić nie chcieli. Wychowanie ludowe, które było cokolwiek się podniosło za księstwa warszawskiego i królestwa konstytucyjnego, znacznie upadło znowu. Rząd chętnie patrzył na niedbałość, okazywaną w tej sprawie przez opiekunów szkół parafialnych, którymi byli albo właściciele albo rządzcy dóbr. W 1844 r. rozkazano oszczędności z funduszów szkółek wiejskich przelewać do Banku polskiego celem niby utworzenia żelaznego szkolnego funduszu. Wreszcie w 1851 r. rząd objawił, iż nie należy zmuszać nikogo ani do zakładania, ani do utrzymywania szkół, ani też wymagać od rodziców, ażeby posyłali dzieci swe na naukę. „Słowem, że gdzie gminy nie życzą sobie mieć szkoły, tam uwalniać wypada mieszkańców od ponoszenia na ten cel składek. Podobne zatem jawne rozporządzenia zapewniały ludowi wiejskiemu dobrodziejstwo utrzymania go w ciemnocie, tyle pożądane tam, gdzie ten lud w biernem poddaństwie utrzymać pragną.“ (Str. 82.) O ile utrudniono chłopcom wejście do rządowych zakładów naukowych, o tyle znowu zachęcano do oddawania młodzieży żeńskiej pod opiekę instytutów carskich, otwierając nieprzezornym rodzicom widoki świetnego wychowania córek bez wielkich kosztów, a w wielu razach bezpłatnie“ (str. 87.) W młodych umysłach niewieścich zamiast nauki i moralności szczepiono tam cześć boską dla carów, lekkomyślność, zamiłowanie zbytku i obojętność narodową. „Oddalone przez cały ciąg edukacyi instytutowej od domów rodzicielskich, zapominały lekkomyślne dziewczyny o obowiązkach i stosunkach familijnych, a po wyjściu z instytutu nieraz pogardzały rodzicami i krewnemi lub litowały się nad ich ciemnotą, znajdując w nich zasady i wiadomości, zupełnie przeciwne tym, jakich je w zakładzie nauczono.“ (str. 87 i 88). Przy takich warunkach materyalny stan kraju nie mógł być pomyślny. Pomijając podniesienie podatków i opłaty cel, czyż podobna mówić o rozwoju dobrobytu tam, gdzie wcale nie istniało bezpieczeństwo osobiste, i gdzie dowolność i łupiestwo najezdzców przez rząd popierane były?!

Czy Mikołaj osiągnął swój cel dwoisty?

„Pierwszy, to jest zemsty, jak najzupełniej, albowiem nie zdarzyło się w dziejach świata tak dokuczliwe i wytrwałe gnębienie podbitego ludu. I niezaprzeczoną jest rzeczą, że niewolnicy starożytności i nowożytni na Wschodzie i w Ameryce nie więcej wycierpieli od Polaków, rządowi reakcyjnemu podległych; bo jakkolwiek osobiste cierpienia pierwszych były wielkie, to przynajmniej nie doświadczali cierpień moralnych, gdyż ani jedni, ani drudzy nie mieli w sobie poczucia godności człowieka, jaką Polacy zawsze tak wysoko cenili, a której ciągłe poniżanie na największe podobne cierpienia moralne ich skazywało. Zemsta więc była zupełna i cel swój osiągnęła.

„Co do drugiego, to jest wytępienia ducha narodowego, to dążność ta nie tylko oczekiwanych nie wydała owoców, ale wprost przeciwny założeniu przyniosła skutek. Wywarcie bowiem zemsty wywołało nienawiść uciśnionych, a ta podburzyła ich do usiłowań o wyłamanie się z pod gnębiącej przemocy, trudność zaś i brak ku temu siły i środków przywiodły ich do rozpaczy i pogardy śmierci. (Str. 172 i 173.

Jestto świadectwo bardzo ważne. Hrabia Skarbek nie jest radykalistą, ani też wrogiem rządu. Podczas rewolucyi polskiej 1830 i 1831 r. znajdował się w Petersburgu, i Mikołaj mianował go na członka Rady tymczasowej, która miała rządzić zrewoltowanym krajem. Wprawdzie, jako człowiek umiarkowany i uczciwy został usunięty od rządu, ale już w 1842 r. otrzymał nominacyę na prezesa dyrekcyi ubezpieczeń, następnie był prezesem rady głównej zakładów dobroczynnych, dyrektorem głównym komisyi sprawiedliwości. Usunięty z posady, wskutek sporu z Muchanowym o szkołę prawną, gdyż żądał dla niej uniwersyteckich wykładów, pragnąc, ażeby ta szkoła istotne miała jakieś znaczenie, zamianowany został w 1858 r. prezesem heroldyi i tegoż samego roku opuścił służbę jako emeryt. Należał do kategoryi tych ludzi, którzy nie widzieli innej przyszłości dla Polski jak tylko w połączeniu z Rosyą. W dziele jego nie widać nienawiści do rządu petersburgskiego, lecz tylko głęboką boleść, że rząd chwycił się niestosownych i gwałtownych środków. Boleje, że rząd samochcący wyzuł się wszelkiego poparcia ze strony *najzdrowszej i najszlachetniejszej części narodu* (tj. większych właścicieli ziemskich) „i miał jedynie za sobą spodlonych służalców a przeciw sobie namiętnych zagorzalców, z grona *poważnych* obywateli wykluczonych.“

Obraz więc dwudziestokilkoletniego pastwienia się rządu rossyjskiego nad narodem polskim, skreślony przez hr. Skarbka „jako naocznego świadka i najbliższego uczestnika tej nieszczęsnej epoki z dziejów naszych“, nie powinien obudzać żadnej wątpliwości. Zdanie jego co do rezultatu usiłowań despotyzmu carskiego, wypowiedziane prawie nad grobem, powinno bronić od pospiesznego głoszenia rozpaczliwych wróżb przyszłości.

I cóż powiedziała Europa rządowa na potarganie traktatów wiedeńskich, na podeptanie konstytucyi polskiej, zaprzysiężonej przez Mikołaja przy koronacyi jego w Warszawie?

Miserrimam servitutem pacem appellant. Najsprośniejszą niewolę nazwała pokojem — powtórzymy za Tacytem.

W pierwszych latach (1831 i 1832 r.) lord Palmerston wprawdzie dowiódł, że umie pisać energiczne noty, ale starannie unikał wszelkich pozorów, któreby wskazywały na gotowość czynnego poparcia wysyłanych przedstawień. Rząd francuski był szczerszy i wyjawiał chęć energiczniejszego pośredniczenia, gdyby znalazł większą pomoc w Anglii. Prusy postępowały jednozgodnie z Rossyą. Austrya lawirowała. Wreszcie trzy rozbiorcze mocarstwa 8. września 1833 r. podpisały słynny traktat, którym zobowiązały się wzajemnie wydawać sobie patryotów polskich.

„Zwyciężeni i z wszelkich nadanych im przywilejów wyzuci“, zostali Polacy opuszczeni przez rządy europejskie; „ale w pasmie udręczeń i poniżeń natrafili na tajemnego sprzymierzeńca w rewolucyi socyalnej zachodu, który namiętne podsycił żądze“. (str. 182).

Usiłowania rewolucyjne Polaków — jak się łatwo domyśleć — zostały najsurowiej przez hrabiego Skarbka potępione. „Rewolucya listopadowa — podług niego — była wielkim błędem politycznym obywateli królestwa; ruchy powstańcze roku 1846 i następnego — niedorzeczną mrzonką garstki zapaleńców; wreszcie powstanie 1863 r. stało się niewątpliwie zbrodnią narodową.“ (str. 182.)

Mimowoli jednak hrabia Skarbek zaznaczył, że ruch rewolucyjny właśnie stanął najpotężniejszą zawadą przeciwko najokropniejszej hańbie, w jaką popadł był naród, przeciwko własnemu upodleniu się. „Młodzi urzędnicy — powiada wzmiankowany autor — którzy w miejsce ubyłych starych w służbę wchodzili, nie okazali się już skłonnymi do łączenia się z obozem rossyjskim; ale przeciwnie postępując za natchnieniem zachodnich zasad socyalizmu i demagogii, odczepili się zupełnie od dawnej szkoły przedajności i nikczemności“ (str. 93.)

Ruchy rewolucyjne, objawiające się w Polsce od 1832 r. do 1848 r. można podzielić na dwie kategorye: jedne były niejako ostatnim podrygiem wypartej z kraju rewolucyi, drugie wskazywały na budzący się duch w srodze trapionym narodzie. Pierwsze obudzały współczucie, lecz nie znajdowały prawie udziału; drugie zaś porywały ku sobie niemal całą szlachetniejszą młodzież.

Do kategoryi pierwszych ruchów należą w 1833 r.: wyprawa Zaliwskiego, Dziewickiego, Białkowskiego i Łubieńskiego, Artura Zawiszy, Sulimirskiego i Leopolda Potockiego.

Pod wpływem towarzystwa demokratycznego i jego centralizacyi, wysyłających nieustannie emisaryuszów do kraju i propagujących czynnie myśl zbliżenia się do ludu, zawiązało się „*Stowarzyszenie ludu polskiego*“ w 1835 w Krakowie, tym jedynym wolnym punkcie na ziemi polskiej. Organizacya ta, kierowana przez ludzi pełnych zapału i poświęcenia, zaczęła się szerzyć po całej Polsce, wydając oprócz tego liczne z siebie boczne gałęzie. Znurtowała Galicyę, a na Rusi i Litwie rozrosła się w potężną Konarszczyznę. Do Warszawy zanieśli ją w 1836 r. uczniowie uniwersytetu jagiellońskiego, ze stolicy puściła ona odnogi po miastach prowincyonalnych. Rząd moskiewski po dwóch latach wpadł na ślady tego spisku, skutkiem czego nastąpiły w 1839 r. liczne wywiezienia na Sybir. Patryoci jednak nie porzucali pracy, i w 1844 r. nowy transport więźniów odstawiono do Syberyi.

Stowarzyszenie więc Ludu Polskiego, które Skarbek niewłaściwie związkiem narodu polskiego nazywa, rozpoczęło drugą kategoryę ruchów rewolucyjnych. „Z tajnych zebrań młodzieży, na którem więcej rozprawiano nad zamierzonem powstaniem, niż zajmowano się jego dokonaniem, przeszły te spiski do ludzi zuchwalszych i nieroztropniejszych, którzy postanowili działać na masy ludu wiejskiego, aby go użyć do przeprowadzenia niebezpiecznych zasad komunizmu. Takie usiłowania objawiły się w Krakowskiem, a miasto Kielce stało się punktem zbiorowym spiskowych, zkąd miało wyjść powstanie ludowe na miesiąc październik 1844 r. naznaczone. Głównym przewódcą tego ruchu był *ksiądz Ściegienny*, eks-pijar, ówczasowy administrator parafii Chodel, w gubernii lubelskiej położonej, który zbierał chłopów w lasach i rozprawiając im o równości włościan z panami, o sile, jaką w przemagającej liczbie swojej posiadają, zachęcał ich do powstania przeciwko tym ostatnim a następnie przeciw naczelnikom władz rządowych, tudzież nakłaniał do łączenia się wszystkich razem, aby socyalną rewolucyę dokonać w Polsce“. (Str. 106 i

107). Hrabia Skarbek, który wiadomości swe o ruchach rewolucyjnych czerpał przeważnie z gazet, wychodzących pod cenzurą rossyjską, błędnie przedstawia, jakoby Ściegienny wymierzał swój spisek przeciwko szlachcie w pierwszym rzędzie. P. Giller, któremu ks. Ściegienny w kopalniach nerczyńskich osobiście opowiadał teoryą swoją socyalną i państwową, świadczy, że naczelnik spisku włościańskiego „za główną przeszkodę w Polsce do szczęścia i wolności uważał nie szlachtę, lecz rządy najezdnicze. Powstanie chłopów z udziałem albo bez udziału szlachty i mieszczan miało wypędzić najezdników z ziemi Piasta, owego gospodarza, na tron polski od pługa powołanego; a potem już w niepodległej ojczyźnie delegowani ludu przystąpiliby do urządzenia społeczeństwa, który im proboszcz Chodelski miał przedstawić. Ks. Ściegienny był typem ludowego, społecznego reformatora; ale był on nietylko socyalistą, był dobrym Polakiem. Przeciwko narodowości nie występował, chociaż szczęście człowieka stawiał wyżej ponad cele narodowe. Czując krzywdy, jakie Polska od wrogów poniosła, chciał ją dźwignąć ramionami chłopskiemi, chciał ją chłopskim rozumem urządzić, w niej znajdując najzdrowsze, najmniej pokalane pierwiastki ludzkości*)." Spisek chłopski rozrastał się, lecz zdrada go wydała. Księdza Ściegiennego skazano na szubienicę; już miał stryczek na szyi, kiedy mu śmierć zamieniono na ciężkie roboty w kopalniach nerczyńskich. Aleksander II, po wstąpieniu na tron, uwalniając więźniów syberyjskich, pominął ks. Ściegennego. W 1862 r. zacny staruszek, interenowany w Permie, doczekał się nowego napływu wygnańców, którzy otaczające posiwiałego męczennika synowską miłością, przezwali go swoim patryarchą.

Ruchy rewolucyjne 1846 i 1848 r. hr. Skarbek opisuje bardzo niedokładnie, stosunkowo jeszcze najlepiej ruchy rewolucyjne w Poznańskiem, posługując się w tym wypadku Gazetą Powszechną Pruską. Hrabia Skarbek mówi o nich z niechęcią jako o „nowej erze nieszczęść ogólnych, spowodowanych przeniesieniem do Polski zarazy socyalizmu i demagogii, a podniesionych do znaczenia klęski powszechnej przez prześladowanie całego narodu i przez poświęcenie nowych ofiar, *bezowocnie dla kraju w męczenników sprawy publicznej zamienionych.*" (str. 101).

Karty, poświęcone przez hr. Skarbka ruchom rewolucyjnym, nie mają prawie żadnej wartości. Czerpane ze źródeł podejrzanych, wiadomości naszego autora są urywkowe i niepewne. Wielu rzeczy nie jest świadom, ztąd liczne błędy. O Zaliwskim powiada, że wywinął się bez szwanku z wojennej wyprawy swojej, snać nie wiedząc, że naczelnik wyprawy partyzanckiej został skazany na śmierć przez rząd austryacki, który to wyrok zamieniono na 20 lat więzienia w Kufsztejnie; Teofila Wiśniowskiego uparcie nazywa Józefem itd.

Najlepszą częścią dzieła jest księga ośmnasta, ostatnia, zawierająca dość objektywną opowieść wypadków, zaszłych w Królestwie Kongresowem w 1861 i 1862 r. Nie potrzebujemy dodawać, że w oczach hrabiego Skarbka największą klęską było to, że szlachta ziemska nie zdołała owładnąć ruchem narodowym i umiarkować takowy. A przeszkodziła temu — podług autora — rozpleniona w kraju sekta socyalistów, która z zasady podkopywała znaczenie właścicieli ziemskich. „Zmierzała ona do tego, aby utworzyć po miastach stronnictwo ruchu, złożone bądź z ludzi zupełnie ciemnych pod względem stosunków politycznych, bądź z demokratów, nieuznających żadnej władzy i gotowych wszystko zniszczyć, nie mając nic do stracenia. Stronnictwo to nie chciało mieć nic wpólnego ze szlachtą i właścicielami dóbr, których za przywłaszczycieli ludowego mienia poczytywało". (Str. 224). Komuż więc mamy wierzyć, czy *Czasowi*, który powiada, że w Polsce wcale nie masz socyalistów, czy hr. Skarbkowi, który czyni z nich już w 1861 i 1862 r. ogromną potęgę? Chyba wypadnie przypuścić, że powybijano ich wszystkich w powstaniu 1863 r. Żart na stronę; porównywając jednak ruch umysłowo-społeczny, jaki panował od 1835 do 1848 r., do tej reakcyjno-apatycznej atmosfery, która owładnęła umysłami po powstaniu 1863 r., ogarnia nas zdumienie i pewny lęk przed przyszłością!

---

*) Historya powstania narodu polskiego w 1861—1864 r. przez Agatona Gillera. T. III. Paryż 1870. str. 514 i 515.

Dzieje popowstaniowe hr. Skarbka są raczej jego pamiętnikiem, aniżeli w ścisłem znaczeniu pracą historyczną. Zajmują się one wyłącznie Królestwem kongresowem. Dotąd mamy właściwie tylko jedno dzieło, które zajmuje się losami narodu naszego od upadku powstania listopadowego aż do śmierci cara Mikołaja, jest niem dotąd dwutomowa Historya powstania narodu polskiego przez p. Agatona Gillera. Porównywając to dzieło z książką hr. Skarbka, dopiero widzimy, o ile pierwsze jest gruntowniejszem i obfitszem w szczegóły. *B. L.*

TEATR.

(„Dora," dramat w 5 aktach Wiktora Sardou, przedstawiony po raz pierwszy 10 października. „Wychowanka," komedya w 5 aktach hr. Aleksandra Fredry (ojca), przedstawiona po raz pierwszy 15. października 1877.)

Mamy do pomówienia o dwóch nowościach teatralnych, które się w ostatnich kilku dniach zjawiły na scenie. Trzymając się porządku chronologicznego, zacznę od „Dory."

„Dora" jako całość artystyczna, jest niedołężnym utworem. Żeby tego dowieść, dość jest tylko opowiedzieć szczegółowo, akt po akcie, treść dramatu; takie opowiedzenie, choćby bez wszelkich uwag ze strony recenzenta, może być czasem najsurowszą krytyką. Ale że to by wiele miejsca zajęło, poprzestanę więc tylko na wskazaniu następujących ujemnych stron sztuki. Więc naprzód „Dora" składa się niejako z dwóch sztuk odrębnych, połączonych z sobą tylko unią personalną, to jest osobistością Dory, która i tu i tam jest główną bohaterką. Ale w pierwszej sztuce, składającej się z dwóch pierwszych aktów, zupełnie inna treść, zupełnie o co innego chodzi, jak w drugiej, to jest w trzech ostatnich aktach. W pierwszej całe zajęcie widza skupia się koło pytania: co się stanie z biedną kolonią hiszpańską na obcej ziemi, jak wybrnie ona z długów, a przedewszystkiem komu oddaną będzie ręka Dory, ostatni i bez wątpienia najdroższy skarb rodzinny, który pozostaje jeszcze do spieniężenia. Przy końcu drugiego aktu wszystkie te pytania rozwiązują się w sposób pomyślny i widz w głowę zachodzi, co tam dalej jeszcze może być w trzech ostatnich aktach.

W trzech ostatnich aktach zupełnie o co innego chodzi. Zazdrość pewnej awanturnicy (hrabina Ziżka), kochającej człowieka, który poślubił Dorę, rzuca na tę ostatnią wobec jej męża podejrzenie politycznego szpiegostwa. Jakim sposobem Dora, zanadto dumna, aby się miała bronić od podobnej potwarzy, dowiedzie swojej niewinności wobec faktów stanowczo przeciw niej świadczących, oto pytanie, które nas zajmuje przez całe trzy ostatnie akta. Trzy te akta stanowią zupełną całość dla siebie, bardzo słabemi ni̇ćmi powiązaną z dwoma pierwszemi, i z dodaniem małej ekspozycyi można by je wybornie grać osobno, podobnie jak i dwa pierwsze akta mogły być osobno grane.

Traktując dwie te połowy dramatu, jako dwie odrębne sztuki, pierwszej należy przyznać wyższość. Nie ma w niej wprawdzie scen tak dramatycznych, jak te, które w sobie czwarty akt zawiera, ale za to nie ma także naciągania, sztukowania intrygi, które jest tak rażącem w trzecim akcie. To jest drugi główny zarzut, który się należy podwójnej sztuce pana Sardou. Jak tam w tym trzecim akcie i kluczyki i ludzie na rozkaz autora biegają w tę i owę stronę, aby się tylko stało zadość ułożonej intrydze, to doprawdy śmiech patrzeć!

Pomimo jednak swej niekształtności, pomimo gwałtownego nakręcania intrygi i innych błędów, o których nie wspominam, dramat p. Sardou jest rudą, z której prawdziwe złoto prześwieca. Tem złotem są postacie Dory i jej matki margrabiny de Rio Zares, a możnaby nawet dodać do nich i Mion, pokojówkę margrabiny. Naiwność, zabobonność, duma, czystość, szlachetność, rycerskość i niesłychana niepraktyczność kastylska znalazły prześliczne wcielenie w osobie Dory, a bardzo zabawne i przyjemne uosobienie w postaci margrabiny. Takich kobiet nie szukać gdzieindziej, jak w Hiszpanii lub w ogóle tam, gdzie krew hiszpańska płynie; pomimo to jednak, że to są postacie tak obce dla nas, a zresztą może właśnie dla tego, że tak nowe, a przytem tak piękne i prawdziwe, widok ich sprawia nam nadzwyczajną radość. To też „Dora" jako dramat jest utworem poronionym, jako idealny portret kobiety hiszpańskiej — arcydziełem.

Wcieleniem Dory na naszej scenie była pani Ładnowska, a rzadka jej piękność, południowy przytem mająca charakter, była ważną kwalifikacyą do tej roli. Co się tyczy gry, której piękność nigdy nie zdoła zastąpić, to pozostaje mi powtórzyć tylko to, co niedawno powiedziano już o pani Ładnowskiej w „Tygodniu," to jest, że widać w jej grze ciągły postęp i coraz więcej rutyny. Ale choćbyśmy się jak najwięcej spodziewali w przyszłości od talentu pani Ładnowskiej, musimy ubolewać nad tem, że obecnie personal kobiecy jest nadzwyczaj ubogi, a mianowicie, że do ról bohaterek oprócz pani Ładnowskiej nie ma nikogo. To a nie co innego jest zapewne powodem, że dramat rzadko się zjawia na naszej scenie, a o tragedyi zapomnieliśmy zupełnie.

„Wychowanka" Fredry rozpoczęła nową seryę pośmiertnych utworów tego pisarza. Utwor to słabszy bez wątpienia od „Dwóch blizn" i „Wielkiego człowieka do małych interesów", więcej wart jednak od opinii, jaka poprzedziła jego przedstawienie. Mówiono sobie, że utwor jest tak lichy, iż nie warto go wyciągać na scenę; nietylko nie przysporzy on sławy Fredrze, ale zdoła jej przynieść uszczerbek. Tymczasem przedstawienie okazało, że wcale tak źle nie jest i jeżeli można się było dziwić spadkobiercom naszego komedyopisarza, że wydobyli na jaw z teki jego tak niefortunny utwór, jak „Rewolwer", to znów należałoby się dziwić, gdyby chcieli byli utaić „Wychowankę". Jeżeli całość jej jest ułomną, to za to w szczegółach, w pojedyńczych postaciach i sytuacyach licznie są rozsiane świetne błyski Fredrowskiego talentu.

Ułomność „Wychowanki" polega na niedołężnem zespoleniu dramatycznego pierwiastku z komicznym. Że to zespolenie samo przez się nie jest błędem, że i owszem zdolne przydać wielkiego uroku sztuce, o tem wie każdy, co choć trochę zna Szekspira. Ale gdy u Szekspira oba pierwiastki z równą siłą występują i przez to się wzajem potęgują, w „Wychowance" Fredry nie ma ani słychu o tej równowadze. Podczas gdy komizm wszędzie tu wre, kipi, jest swobodny, naturalny, nieprzymuszony, żywioł dramatyczny, wcielony w tytułową postać sztuki, jest martwy, niedołężny, sztukowany, ledwie w paru miejscach zdolny odezwać się akcentem prawdziwego uczucia.

Fredro nie był stworzony dla dramatu, pisał też same tylko komedye. I „Wychowanka" o ile jest komedyą, posiada zalety właściwe Fredrowskim utworom. Prawie wszystkie komiczne postacie dyszą świeżością, pełne są życia. Morderski jest wyborny i może stanąć obok Jenialkiewicza. Jestto wojak zawołany, choć nigdy prochu nie wąchał, pułkownik, a nawet generał, choć nigdy w wojsku nie służył, ale przez grzecznych sąsiadów z powodu różnych okoliczności, awansowany bywał coraz wyżej, tchórz w gruncie wielki pod pozorami marsowej natury. Jest tam tchórz drugi, nie większy może w gruncie od Morderskiego ale który nie ukrywa się ze swojem tchórzostwem, a przytem ze stnowiska swego ma się nierównie więcej czego lękać od Morderskiego. Jestto jego aktuaryusz dominikalny, Narcyz. Nocna scena, w której dwaj ci tchórze lękają się napadu spitego i zamknięte na kłódkę włóczęgi, i w której wobec strachu równają się pozycye pana i sługi, ma wysoki komizm z zacięciem szekspirowskiem.

Wyborną dalej postacią jest pan Piotr, synowiec Morderskiego Jestto typ głupca, ale odrysowany con amore, i widocznie z natury, tyle w nim jest oryginalności i prawdy. Nie wielu ale silnymi rysami nakreśloną jest także postać żony Morderskiego, do dna przewrotnej pani Reginy. Scena jej z aktuaryuszem zaraz po owej scenie dwóch tchórzów zdradza rowniež mistrzowskie pióro. Bardzo ładną jest postać starego sługi Szymona; ona jedna wprowadza do „Wychowanki" uczucie rzewności, które należy przyznać, jest rzadkim gościem w utworach Fredry Za to główna bohaterka sztuki, Zosia, nie udała się, jak już powiedziałem, całkowicie.

Żeby dać wyobrażenie, jak sztuka była odegraną, dość jest powiedzieć, że Morderskim był pan Zamojski, Reginą pani Aszpergerowa, Piotrem p. Fiszer, Szymonem p. Zboiński, Narcyzem p. Kwieciński, i że w drobnej roli Wacława, sąsiada Morder-

skich, występował p. Ładnowski. Nie mam dostatecznego zapasu pochwał dla ich gry, ale trudno mi nie wyrazić żalu, że talent p. Ładnowskiego rdzewieje na takich podrzędnych rolkach, jak Wacława, i jest martwym kapitałem dla naszej sceny. *J. T.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 20. października.

Dzienniki polityczne nasze zajmują się żywo bezczynną rolą jaką delegacya odgrywa w Wiedniu, a nie mogąc trafić do przekonania, nawołują do złożenia mandatów. Zanadto jednak chodzą około tego w rękawiczkach, aby im się udało sprawę pomyślnie przeprowadzić. Delegacya nasza znajduje się co prawda w kłopotliwem położeniu, bo sejm to zawsze znalazł jakąś piekącą kwestyę, którą dyskutując, zajął całą kadencyę, czy to o użyteczności nietoperzów, czy o powiększeniu podatku od psów, czy o wróblach, jeżach, kozicach etc. etc. i mógł się poszczycić z wielkich dzieł dokonanych, ale biedna delegacya nie ma pola do popisu, bo Niemcy nie dorośli jeszcze do tej doskonałości, aby mogli pojmować całą doniosłość rozpraw nad tak pożytecznemi rzeczami, a znowu w błahostki, o których rozprawiają Niemcy i nie Niemcy, delegacya bez poniżenia swojej godności wdawać się nie może.

Z drugiej stronny dziennikom naszym w obronie delegacyi odpowiedzieć możemy, że chociażby delegaci poniżyli się aż do uznania siebie za równych innym śmiertelnikom i usłuchawszy głosu kraju złożyli mandaty, to zkąd wziąć ludzi którzyby inaczej postępowali? gdzie są ci kandydaci? brać dyety i milczeć, każdy potrafi, ale kto potrafi mądre słowo powiedzieć? Czy są tacy? kto?

Niemcy i nie Niemcy kpią wprawdzie z naszej delegacyi i z kraju, co taką delegacyę wysłał i mogą mieć racyę, ale my, czyż możemy mieć do niej pretensyę i urażać się temi kpinami, skoro na nie zasłużyliśmy?

Z pokorą musimy znosić to, co nas spotyka, i pracować nad podniesieniem się moralnem. Nie łatwa to sprawa, ale wziąć się do niej należy jak najwcześniej, a szczególniej pomyśleć nad powiększeniem liczby obywateli kraju, nad oświatą powszechną. Niechże się raz zbierze garstka ludzi do pracy — niech ich będzie stu, dziesięciu, pięciu — wielu jest — i niech pracę rozpocznie, i drogą powolną a wytrwałą niech buduje dla przyszłości. Jak ogólny poziom oświaty i moralności publicznej podniesie się w kraju, wówczas i wybrańcy będą inaczej myśleli i działali.

* * *

Stróże lwowskich kamienic zamierzają podać zbiorową petycyę, aby ich do rzędu zwierząt policzono. Rachują na tę ewentualność, że Towarzystwo opieki nad zwierzętami przyjdzie im z pomocą, i nie pozwoli właścicielom domów pastwić się nad ich niedolą. Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić obojętnośćsławetnego Magistratu, z jaką tenże spogląda na biedną klasę ludzi, zmuszonych dla utrzymania życia przebywać w norach i lochach kamienic, często bez światła, bez pieca — a zawsze wśród wilgoci, stęchlizny i zgniłego powietrza. Są nawet tak litościwi gospodarze, jak w pewnym nowym domu przy ulicy Zygmuntowskiej, że dla uprzyjemnienia pobytu stróżowi, wyznaczono mu stancyę w piwnicy, przez którą przeprowadzona jest rura dla sprowadzania ścieków z całego domu do kanałów. Na wiosnę może on zajmować się rybołowstwem w swej podziemnej izdebce, a zimą i latem nie widzi nigdy bożego słońca.

W dzisiejszych czasach, gdy się tak wiele mówi i pisze o humanitaryzmie i hygienie, stróż lwowski przez całą noc jest budzony alarmującym odgłosem dzwonka, i musi wstawać co chwila dla otwierania bramy; cały dzień gonią go do roboty i utrzymania porządku w kamienicy — jest sługą sług pana właściciela, a przy wynagrodzeniu za te zajęcia, powinien liczyć na wspaniałomyślność późno wracających lokatorów, albowiem pensya jego redukuje się do minimum.

Czyżby to nie nadszedł już czas, aby lokatorom przy najmowaniu mieszkania wręczano klucze od bramy, któreby im pozwoliły obejść się bez półgodzinnego szarpania rączki od dzwonka, a tym biednym stróżom darowały kilka godzin spoczynku?

W miastach niemieckich jak Berlin, Wrocław i inne, stróż nocny, patrolujący po ulicach, ma klucze od wszystkich bram swego rewiru, i wpuszcza o każdej porze późno wracających lokatorów. W Paryżu, każdy odźwierny, ma urządzony nad łóżkiem mechanizm, że nie wstając otwiera bramę, która się po wejściu przychodzącego sama zamyka. W Warszawie nawet, w tej osławionej pod rządem moskiewskim Warszawie, policya ma surowy rozkaz przestrzegania, aby właściciele domów stróżom ludzkie urządzali pomieszczenia, a prawie we wszystkich nowszych domach lokatorowie mają zgrabne kieszonkowe klucze od bramy.

Podnosimy tę kwestyę w obronie zdrowia tej biednej klasy naszej ludności, w obronie sponiewieranych uczuć ludzkości i miłosierdzia w nadziei, że świetny Magistrat wydeleguje komisyę sanitarną, któraby zrewidowała skrupulatnie wszelkie lokale przeznaczone dla stróżów i biednej ludności, a przekona się, że to, cośmy tu powiedzieli, jest tylko słabym rysem wobec rzeczywistego stanu mieszkań, w których pracująca ludność truje i zabija swoje i swych familii zdrowie i przyszłość.

* * *

Oba nasze najwyższe zakłady naukowe, Uniwersytet i Akademia techniczna, rozpoczęły swą czynność. Uroczyste otwarcie Uniwersytetu odbyło się w sposób zwyczajem uświęcony, nabożeństwem w kościele i przemówieniem najmłodszego z grona profesorów. Ten ostatni obowiązek spadł tym razem na dr. Ludwika Ćwiklińskiego, profesora filologii klasycznej. Tematem jego przemowy był „Uniwersytet a nauka.“ Wykazywał on ścisłą łączność pomiędzy wszystkiemi gałęziami umiejętności uprawianych na Uniwersytecie i potrzebę ich harmonijnego złączenia w jednę organiczną całość, bez dawania szczególnej przewagi temu lub owemu kierunkowi. Ponieważ mowa szanownego profesora ma się ukazać w jednem z pism peryodycznych, więc się wstrzymujemy ze szczegółową oceną tej pod wielu względami znakomitej mowy do czasu późniejszego.

W wykazie uniwersyteckim na rok szkolny bieżący znajdujemy bardzo niewielkie zmiany; jest to spis wszystkich osób zajętych przy Uniwersytecie z wyliczeniem ich wszystkich tytułów i orderów. A spotykamy się tam z tytułami nie lada, jak np. członek Towarzystwa sztuk pięknych, lub też Towarzystwa ogrodniczego itp.

Z wykładów tegorocznych na szczególniejszą uwagę zasługują odczyty prof. Syrskiego o człowieku, które się odbywać będą w godzinach wieczornych i przeznaczone są głównie dla szerszej publiczności. Spodziewamy się, że na wykłady te, objaśniane okazami i preparatami anatomicznymi zgłoszą się liczni słuchacze z miasta.

Dowiadujemy się, że w roku bieżącym ma być także utworzona nowa katedra dla pedagogiki i że w tej sprawie zawiązane już są rokowania z ministeryum oświaty.

Akademia techniczna, która zmienia obecnie swą nazwę na „Szkołę politechniczną,“ rozkłada się obecnie w nowym i przepysznym gmachu przy Nowym Świecie. Wykłady już się rozpoczęły, lecz uroczyste otwarcie ma nastąpić dopiero d. 15go listopada, skoro wszelkie prace około wewnętrznego urządzenia zostaną ukończone.

* * *

Wiadomo czytelnikom naszym, że Sejm wyznaczył dość znaczną sumę na wydanie fachowego sprawozdania z naszej tegorocznej wystawy i polecił Wydziałowi krajowemu zająć się tą sprawą. Otóż prace około tego dzieła mają się już rozpocząć i wyznaczeni są specyalni sprawozdawcy do rozmaitych działów. Przyznajemy, że takie sprawozdanie wielką mogłoby mieć doniosłość, jeśliby się doń wzięto w sposób poważny i odpowiedni, jedno ze smutkiem musimy skonstatować, iż tak nie jest wcale. Znamy np. takich sprawozdawców, którzy o swojem przeznaczeniu dowiedzieli się dopiero *we dwa tygodnie po zamknięciu wystawy!* W jakiż więc sposób człowiek, choćby nawet najspecyalniej uzdolniony, może dać szczegółowe sprawozdanie naukowe o tem, czemu się tylko pobieżnie i bez szczególnych studyów przyglądał. Jakie to będzie sprawozdanie i jakie ono przyniesie korzyści!

Żeby się też nie wydarzyło któremu ze sprawozdawców, jak owemu korespondentowi „Czasu,“ który rozwodził się nad maszynami, które nie były wcale wystawione.

* * *

— 12. października odbyło się doroczne sprawozdanie Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Publiczność, ktora zgromadziła się dość nielicznie, powitał krótką przemową kurator hr. Kazimierz Krasicki, w której uczcił zasługi i pamięć b. dyrektora Zakładu śp. Aug. Bielowskiego. Sprawozdanie odczytał sekretarz p. K. Kantecki i zwrócił w niem uwagę na to, że dyrekcya głównie starała się o uporządkowanie zbiorów, które odtąd publiczności znacznie ułatwią poszukiwania. Zbiory Zakładowe w ogóle znacznie się powiększyły, a mianowicie muzeum zyskało pomiędzy innemi ryciny przedstawiające w sześciu tablicach wykonanych przez Stefana Dollabellę wjazd do Rzymu Jerzego Ossolińskiego, późniejszego kanclerza — i odlew gipsowy w naturalnej wielkości posągu Światowida, wykonany wiernie z formy, będącej własnością krakowskiej akademii umiejętności. Zbiory biblioteczne powiększyły się znacznie. Manuskryptów przybyło 359, tak, że zbiór doszedł już do liczby 2376. Dzieł drukowanych unikatów przybyło 973,

jest zaś obecnie wogóle 71.410 dzieł; dubletów przybyło 228, jest zaś wogóle 4582. Dyplomatów przybyło 114, jest zaś wogóle 849. Autografów przybyło 23, rycin 61, rzeczy muzealnych 30; zbiór oryktognostyczny pomnożył się o 135 minerałów. Biblioteka była otwartą dla publiczności przez 220 dni w ciągu 12 miesięcy, bo i podczas miesięcy wakacyjnych, lipca i sierpnia, korzystała z niej publiczność przez dwie godziny dziennie. W przeciągu tego czasu wydano w pracowni naukowej 1340 czytelnikom 648 rękopisów, 3124 dzieł, 6776 tomów. W czytelni górnej czytało w ciągu 10 miesięcy 6761 osób, a więc 866 więcej, niż w roku ubiegłym. Po za obręb gmachu Zakładowego wypożyczono 2749 dzieł w 49.392 tomach, czyli 772 dzieł, a 1265 tomów więcej niż w poprzednim roku.

Dyrektor Zakładu dr. W. Kętrzyński odczytał napisany przez siebie wyczerpujący życiorys Augusta Bielowskiego, oparty na aktach korespondencyi i zapiskach własnych nieboszczyka.

* * *

Liczne grono patryotów w dniu 14. października odprowadziło na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki śp. Leopolda Osiecimskiego, wychodźcy z Litwy, który z powodu udziału w ostatniej bohaterskiej walce z najazdem, zmuszony był opuścić rodzinne strony. Szlachetny umysł, ciągła praca z myślą o odrodzeniu Ojczyzny zjednały mu szacunek powszechny, a tak wczesny zgon jego napełnił żałobą serca kolegów i przyjaciół. Cześć jego pamięci.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Björnson Björnstiern* Nowożeńcy. Komedya w dwóch aktach. Przekład w dwóch aktach Edwarda Lubowskiego, 8ka str. 75 Warszawa 1877 60 ct.

— *Likowski Ks. E.* Mowa żałobna na cześć zmarłego w Wenecyi ś. p. X. Jana Koźmiana, 8ka str. 28. Poznań, 1877 65 ct.

— *Malczewski A.* Marya. Powieść ukraińska (53 tomik Bibl. Mrówki) 16ka, str. 62, Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1878 15 ct.

— *Łączyński hr. Henryk.* Baronowa Alina, Komedya w 5. aktach 8ka, str. 112. Lwów, 1878 60 ct.

— *Tatomir Lucyan.* Obrazki geograficzne z 23 illustracyami, 8ka st. 302. Lwów, 1878 2.50.

— *Trzy powiastki o dzieciach* (z angielskiego) I. Dwaj braciszkowie. II. Ja i moja żona, III. Szpitalik dziecięcy. 8ka str. 266. Poznań 1878. 1.30.

— *Vandal Albert.* Podróż wózkiem po Szwecyi i Norwegii. Przekład z fran. 2 tomy, 8ka, str. 141 i 134. Warszawa, 1877. 1.20.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Do Towarzystwa naukowej pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego przystąpili pp. Seweryn Kaliński, Adolf Stroner i Sygurd Wiśniowski. Przy tej sposobności uprasza się tych pp. członków, którzy dotąd jeszcze nie uiścili się z tegorocznej wkładki, aby złożyli takową w Księgarni Polskiej.

— Na tegorocznej wystawie lwowskiej następujący księgarze otrzymali nagrody: *J. K. Żupański* z Poznania dyplom honorowy. *Gebethner i Wolff* i *Unger* z Warszawy, *Karol Wild* i *Księgarnia Polska* ze Lwowa, medale w uznaniu zasług położonych na polu wydawniczem.

— *Baronowa Alina,* komedya w 5 aktach, napisana przez Henryka hr. Łączyńskiego, opuściła druk nakładem księgarni Karola Wilda we Lwowie.

— Wkrótce ukażą się w handlu księgarskim w nowem, taniem wydaniu poematy Słowackiego: *Poema o piekle* i *Jan Bielecki,* w Bibliotece Mrówki.

— Nr. 641 *Kłosów* zawiera: Wybór posła, powieść J. Zachariasiewicza. Michał Wiśniewski, szkic biograficzno-literacki. Toruń, jego pamiątki i obyczaje przez Chamskiego. Pierwsza wesołość i pierwsza boleść. Wspomnienie z wystawy lwowskiej. Październik, wiersz A. Pługa. Pokłosie. Wojciech wójt krakowski przez Świeżawskiego. Listy włoskie. Jan Matlej. Szlachetna zemsta. Przegląd polityczny. Wiadomości bieżące z pola literatury, nauki i sztuki.

— P. Cypryan Godebski otrzymał w r. b. trzy medale za swoje utwory, dwa medailles d' honneur i jeden srebrny, a akademia francuska zaliczyła go w poczet swych członków.

— P. Leon Syroczyński przełożył na język polski głośne dzieło sir Dawida Page pt. *Economie geology.* Dzieło to zawiera zastosowanie geologii do górnictwa, budownictwa, rolnictwa i przemysłu fabrycznego. Będzie to cenny nabytek dla naszej literatury technicznej.

— P. Stanisław Stroynowski przełożył na język polski dzieło Hübnera *Sykstus piąty.*

— Opuścił już prasę tom 4 *Historyi literatury polskiej* Aleksandra Zdanowicza i Leonarda Sowińskiego.

— *Biblioteki historycznej* opuścił prasę zeszyt 121.

— P. Łucyan Tatomir napisał nowe dzieło pt. *Szkice geograficzne,* które wyszło z druku nakładem Karola Wilda we Lwowie, w wydaniu ilustrowanem.

— „Warszawskie Gub. Wiad.“ zamieszczają w przekładzie rossyjskim kurs logiki, wydany przez profesora Struvego, mianowicie dział zatytułowany: „Logika w Polsce.“

— „Gazeta Lubelska“ rozpoczęła drukować pracę Wł. K. Zielińskiego, pt.: „Aryanie w Polsce.“

— W Beureuth, w miejscowym głośnym teatrze, w tych dniach miało miejsce posiedzenie członków-opiekunów tego teatru, pod prezydencyą Ryszarda Wagnera. Znany muzyk w długiej mowie przedstawił projekt założenia specyalnej szkoły muzycznej, przy pomocy której możnaby szybko i dokładnie przedstawiać na scenie jego opery. Zadaniem więc tej szkoły będzie kształcenie adeptów i znawców „muzyki przyszłości,“ i będą do niej przyjmowane tylko osoby, które dostatecznie władają techniką muzyki. Kurs trwać będzie 6 lat, a każdy uczeń winien pracować przez dziewięć miesięcy w roku, tj. od 1. stycznia do 1. października. W szkole tej wykładane będą: śpiew, gra na fortepianie i muzyka orkiestrowa, przyczem główny nacisk będzie położony nie tyle na techniczne wyrobienie, ile na wniknięcie w ducha wagnerowskiej muzyki. W programie szkoły znajdować się będą, obok utworów Beethovena, wyłącznie dzieła Wagnera, zacząwszy od „Tannhäusera,“ a skończywszy na nieukończonej jeszcze operze „Parcival.“ Wagner będzie osobiście wykładał w szkole trzy razy tygodniowo i spodziewa się, że w przeciągu sześciu lat zdoła się utworzyć tak doskonały zastęp artystów, że wystawianie jego oper stanie się nietylko możliwem, ale będzie miało zapewnioną przyszłość. Przekonany jest również, że napływ uczniów do jego szkoły będzie tak wielki, że już 1go marca 1875 r. zdoła szkołę otworzyć.

— Na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie przybyły następujące dzieła:

1) Biedrońskiego Leona „Za służbą“.
2) Świerzyńskiego Saturnina „Nawa Katedry na Wawelu, za wielkim ołtarzem“.
3) Jasińskiego Ignacego „Bracia rozbójnicy“.
4) Horowitza Leopolda „Portret damy“.
5) Maleszewskiego Tytusa „Portret Jana Matejki (rysunek) i „Astra“ (pastel)“.
6) Kurelli Ludwika, „Piknik“.
7) Abramowicza „Wierzynek przyjmujący trzech królów“.
8) Malinowskiego Adama „Zachód“.
9) Wastkowskiego Franciszka „Osada nad Wieprzem“.
10) Wisłockiej Anieli „Portret damy“.
11) Jabłonowskiego Izydora „Scięta głowa św. Katarzyny“.
12) Kotsisa Aleksandra, „Staruszka w chacie wijąca bukiet“.
13) Dukszyńskiej Emilii „Portret mężczyzny“.
14) Rygiera Teodora „Popiersie Kopernika“ (z terracotty) trzy popiersia „Portrety“ i medalion portret (z marmuru).
15) Ostrowskiego Kazimierza „dwa portrety“ damy i mężczyzny (z gipsu) medaliony.
16) Skoniecznego Teodora „Portret damy“ medalion (z gipsu).

Szkoły.

— Ze sprawozdania dyrekcyi gimnazyum w Kołomyi za rok szkolny 1877 wyjmujemy następujące liczby. Grono nauczycielskie składało 24 profesorów i nauczycieli. Uczniów było 308. Z tych Polaków 179. Rusinów 128, Niemiec 1. Katolików 154, unitów 128, wyz. mojż. 26. Ukończyło gimnazyum 25, z tych 3 udało się na wydział teologiczny, 13 na w. prawny, 4 na wydział lekarski, 2 na wydział filozoficzny.

— Rada lekarska w Berlinie zapytana od rządu, czy można w szkołach publicznych używać oświetlenia gazowego, oświadczyła, że oświetlenie powyższe nie szkodzi wzrokowi uczniów, jeżeli tylko w należyty sposób będzie urządzone.

— Na zjeździe nauczycieli, jaki niedawno odbył się w Belgii, postanowiono, ażeby na przyszłość w szkołach elementarnych nie rozdzielać obu płci. Motywa tego postanowienia są bardzo interesujące: „Trzymając osobno chłopców od dziewcząt, brzmią motywa, pobudza się ich tylko do zawierania znajomości po za dozorem szkolnym a zarazem zmusza się niejako jedną płeć do tworzenia sobie o drugiej jak najnieprawdziwszych opinii. W ognistej wyobraźni młodego dziewczęcia chłopiec staje się niejako bóstwem i odwrotnie temu ostatniemu rysuje się ona jako coś eterycznego, nieziemskiego, i z tych to dwóch sprzecznych opinii a nadewszystko nieopartych na realnym gruncie, wynika następnie w życiu rozczarowanie, które w wielu razach jest główną przyczyną niezgody małżeńskiej.

— Szkoła i hygiena. Na czwartem z rzędu walnem dorocznem zebraniu niemieckiego Towarzystwa hygienicznego, które się odbyło w Norymberdze d. 24go września rb., przyjęto następujące rezolucye: 1. obecny system szkolny przez zbyt wczesne i przeciążone materyałem naukowym natężenie mózgu dziecięcego i przy zaniedbaniu rozwoju muskularnego, działa niekorzystnie na ogólny rozwój cielesny, a po szczególe na rozwój oka. 2. Należy zatem, ażeby przez zmniejszenie materyału naukowego skrócić naukę dzienną i czas prac przygotowawczych w domu, jako też dążyć do osiągnięcia większej harmonii w wykształceniu ciała i ducha, z uwzględnieniem indywidualności. 3. Niedostateczne stosowanie hygieny w wychowaniu, naraża pokolenie podrastające na szkody, od których chronić je należy za pomocą stosownego udzielania nauk hygieny, najprzód w seminaryach nauczycielskich i na uniwersytetach, następnie w szkołach ludowych, jako i wyższych zakładach naukowych. 4. We wszystkich radach i układach szkolnych, obok innych urzędników, powinni także zasiadać lekarze.

Statystyka.

— W roku zeszłym ogólna produkcya srebra we wszystkich częściach świata wyniosła 77 milionów dolarów, a złota 101 milionów. Między innemi wydobyto srebra w Meksyku za 41 milionów; w południowej Ameryce za 15 milionów, a w Rosyi za pół miliona. Złota zaś najwięcej wyprodukowały Stany Zjednoczone północnej Ameryki, bo na 44 milionów; potem idzie Australia, 28 milionów; Rosya 22 milionów; Meksyk 4 miliony.

— Według wykazów statystycznych, pomieszczonych w „Gońcu Urzędowym“ dowiadujemy się, iż w ciągu miesiąca sierpnia r. b. we wszystkich guberniach Cesarstwa rosyjskiego, jakoteż w Królestwie Polskiem wypadków pożaru ogółem było 2,829, straty zaś ztąd wynikłe, w przybliżeniu wyniosły 6,191,709 rs.

— Wywóz produktów mlecznych z północnej Ameryki z zadziwiającą wzrasta szybkością. W r. 1870 Stany Zjednoczone wysłały za granicę masła funtów 2,079,751, za 570,433 dollarów i sera f. 60,113,090, za 8,646 491 dollarów; w r. 1873 wywóz ten podwoił się, w roku zeszłym zaś wywieziono masła za 2,953,722 dollarów, tj. 13,827,813 funtów

i sera za 11.817,006 dollarów, tj. 100,079,396 funtów.

Zjawiska.

— Z Hawru donoszą dzienniki francuskie o następującem osobliwszem zjawisku. Od niewielkiej gromady białych obłoczków oddzieliło się kilka cząstek, które powoli rozszerzając się, utworzyły w końcu najzupełniej prawidłowe koło. W miarę zwiększania się tego koła, przybierało ono świetną, błyszczącą barwę i stawało się przezroczystem. Początkowo kształt tego fenomenu podobny był do wieńca śnieżnego, poczem zmienił się w wieniec z białych kwiatków i nakoniec przybrał formę orła. W tym ostatnim kształcie przebiegł horyzont w kierunku od południo-wschodu ku północo-zachodowi, dopóki zupełnie nie znikł. Wieczorem tegoż samego dnia obserwowano w Hawrze dość silną zorzę północną.

Wystawa paryska.

— Bryła srebra. Na wystawie filadelfijskiej znajdowała się ogromna bryła srebra, wystawiona przez właścicieli min Florod i Brien. Bryła ta miała blisko 3 metry średnicy, ważyła 300 ton, a wartość jej wynosiła 4 miliony. Ciż sami panowie wysyłają na przyszłoroczną wystawę jeszcze większą bryłę srebra.

Wynalazki i odkrycia.

— We Francyi utworzoną została oddzielna komisya rządowa, której zadaniem jest zajmowanie się sprawami poczty gołębiej i jazdy balonowej.

ROZMAITOŚCI.

TRAGARSKA JAŁMUŻNA.

Rzecz dzieje się w Warszawie w 1877 r. na Św. Michała.

Z dwupiętrowego domu przy ulicy Elektoralnej, pan X. z rodziną przeprowadzał się na ulicę Piwną, jaśniej zaś mówiąc, biedny, złamany chorobą, zubożały w skutek bezczynności przymusowej, porzucał wygodny lokal by przenieść się do ciasnych i ciemnych izb, w tańszej miasta dzielnicy.

Z czterech tragarzy zgodzonych za rubli ośm, do przeniesienia skromnych, lecz dość licznych mebli i rupieci, trzej weszli na chwilę do sklepiku z wiktuałami w tymże samym domu, w którym pan X. dotąd mieszkał. Zaledwie jednak kupili sobie sera i wędliny, by zakąsić po sznapsie wypitym w szyneczku sąsiednim, wszedł i czwarty kolega, a patrząc na zajadających kompanów, rzekł:

— Tylko wy tam nie lustykujcie bardzo... Bo mnie się widzi, że z tej dzisiejszej roboty zarobek będzie liche, a może i wcale żadzien.

— No! Czemu zaś? — zapytał jeden z zajadających tragarzy.

— Ba! Tera jak byłem tam na górze, usłyszałem tech państwa rozmawiających ze sobą nie wesoło jakoś. Nie widzieli mnie co prawda, bom związywał krzesła za ścianą.

— A cóż nam wadzi ich gadanka niewesoła. Czy i my to do rozradowania ich zgodzeni?

— Aleśmy godzili się na to, żeby wziąść pieniądze, a co weźniemy jak pieniędzy nie ma?

— A nam co do tego! Nam się należy i basta! Mają czy nie mają, a nam zapłacić i to zara po robocie muszą.

— Toć prada. Ale ja tam po te pieniądze upominać się do nich nie pójdę...

— I czemu?

— Bo ten pan taki jakiś bladziuchny, jakby już w trumnie leżał, a i ona z dzieciami takoż malikowata — ot wszystko cherlaki. A wszyscy patrzają na człeka jakiemiś oczami takiemi, że aż żal bierze.

— Czy to z drugiego piętra, od państwa X. przenosicie rzeczy? — zapytał, wtrącając się do rozmowy swych gości sklepikarz.

— A od nich.

— No, to pieniądze za jakie oni zgodzili, nie przepadną nikomu, bo państwo X. ludzie poczciwi i rzetelni... Jać ich znam dobrze, bo przez trzy lata jak tu mieszkali nie zadłużyli się nikomu na szeląg nawet, a choć w ostatnich czasach przyszła na nich choroba i bieda, to jednakże choć pomału wypłacili się każdemu. Teraz nawet, kiedym ja, widzący ich niedostatek, chciałem im poczekać te kilka rubli, co mi się należały, oni przecie podziękowali tylko pięknie za dobre serce, ale mojej grzeczności przyjąć nie chcieli i zapłacili mi wszystko, choć może ostatek dali. A mogli przecie i snadno mnie się zadłużyć, bo kiedy zaprzeszłego roku potrzebowałem poręczenia dwóch właścicieli domów na pożyczkę od Towarzystwa Dobroczynności, to pan X. uprosił swojego krewniaka, co ma domek na Tamce i ów za mnie poręczył. Ba! a choć i ona — to także walna kobieta... Zawsze i każdemu ulżyć i dobre słowo dać gotowa. A miłosierna! To już chyba szukać daleko takiej. Jak kto z biedniejszych bywał chory w kamienicy, to ona mu zaraz i kleiku zgotuje, i ziółek, albo inny lek jaki pośle. Przeszłego lata mieszkał tu pode strychem tragarz, jak wy oto, a żona jego prała. On, co prawda, był nicpoń wielki. Tylko by zawżdy z kieliszkiem się bawił, a choć i zarobek miewał dobry, to ni na życie babie, ni dzieciom na sprawunek nie dał. Otóż, on tragarz, Antek, zwichnął był sobie razu jednego nogę, kędyś po nocy łażący, a we trzy dni potem i kobiecina jego zachorzała tęgo. Rozumie się, że robota u nich kołem stanęła... Z początku szedł jeden łach za drugim do handlarza, potem jak nożem urznął! Choć z głodu mrzeć z dziećmi! Wtenczas to pani ta z drugiego piętra, choć sama niezamożna, jak mogła i czem mogła pomagała jem wszystkiem. To coś z garkiem posłała, to parę groszy udzieliła ze swego, a często też i dziatki owych biedaków, zwoławszy do siebie, nakarmiła one i herbatą ogrzała. Nareszcie i doktora sprowadziła jakiegoś, a doktór to był i dobry i uczciwy, bo nie tylko, że darmo i prędko wyleczył, ale jeszcze na leki co dni parę po rubelku dawał. No, i jakoś wreszcie wydobrzeli biedaki, a Antkowi poszło na dobre ta choroba, bo się opamiętał przecie i wódkę rzucił precz do czorta.

Tragarze milcząc wysłuchali opowiadania sklepikarza — potem, spojrzeli po sobie — potem, jeden najstarszy poskrobał się w głowę i rzekł:

— A no, ludziska dobre, nie ma co mówiący. Szkoda że zbiednieli. Ba! i myć nie bogatsi także. Ale czas do roboty... Pójdźta chłopcy.

— Ale... zauważył, po pewnem wahaniu się sklepikarz... Jeżeliby ci państwo nie mogli tak na razie zapłacić wam co się należy, to... ja za nich gotowem poręczyć i... i...

Najstarszy z tragarzy machnął ręką i rzekłszy: dobrze, dobrze! zobaczymy — wyszedł na ulicę wraz z towarzyszami.

Stanął przed sienią, gdzie stały tragi już obładowane, pod strażą służącej państwa X.

Najstarszy tragarz spytał się jej, czy już nic do zniesienia nie zostało na górze.

— A jest tam jeszcze szafa mahoniowa, z której pani wyjmuje teraz właśnie swoje suknie i garderobę dzieci.

— A po cóż wyjmować! My ją z tem wszystkiem bezpiecznie zaniesiemy.

— Ale... kiedy bo pani chce tę szafę tu sprzedać a suknie zabrać w zawinięcie tylko.

— Chce sprzedać? Komu?

— Handlarzowi, który ją teraz właśnie targuje.

Stary tragarz pomyślał chwilę, potem pogadał coś cicho z towarzyszami, a wreszcie zostawiwszy ich przy tragach, sam poszedł na górę.

Tam zastał oboje państwa X. zasmuconych widocznie — i dwóch handlarzy ulicznych, którzy oglądali otwartą dużą mahoniową szafę, ganiąc ją ile się tylko zmieściło.

— To taki stary grat... To nic nie warto!.. To próchno!.. Tylko wziąść w rękę, zaraz się rozsypie. Chce pani dziesięć rubli, to dam — wołał jeden.

— Co ty głupi gadasz! — ofuknął go drugi — to i ośm nie warto. Tfy?

— Za dwadzieścia... Nareszcie za ośmnaście rubli, oddam — ozwał się pan X. — chociaż — dodał po chwili — szafa ta warta dziś jeszcze dwa razy więcej.

— Co pan gada! Co pan gada! — zawołał handlarz zaperzony. — Ja panu taką nową z igły sprzedam zaraz za piętnaście rubli. Ale co tu długo gadać! Chce pani dwanaście rubli — więcej ani jeden grosz nie dam.

I porwawszy czapki i kije, spekulanci uliczni zbierali się niby do odejścia, wykonywając znany w strategii handlarskiej manewr, który instruktorzy scen francuskich nazywają: „une fausse sortie".

— Trzeba sprzedać — szepnął do żony pan X. Nie mamy dla tragarzy.

Biedna kobieta spojrzała na męża oczyma łzawemi. Nie dziw! Tę szafę dostała w wyprawie od matki... Oczy jej znały ten stary sprzęt jak przyjaciela dawnego. A wreszcie dziś, ta szafa była ostatnim już przytułkiem dla jej rzeczy, dla garderoby dzieci...

— No! bierze pani dwanaście? — zawołał jeden z handlarzy, wróciwszy się z progu.

— Niech państwo nie sprzedają — ozwał się stary tragarz, który od chwili już stał w cieniu i przypatrywał się tej całej scenie. Ja za tę szafę dam ośmnaście rubli.

— Nu! Co to znowu. On sobie żartuje tylko! — krzyknął jeden handlarz z gniewem.

— On sam nie widział nigdy tyle rubli — taki kapcan! zawołał drugi.

— Stulcie gęby! Wam zasię od mojego kapcoństwa. A oto — rzekł zwracając się do państwa X. Ja za tę szafę dam ośmnaście rubli — i na to zostawiam w zadatku ośm rubli, co nam od państwa za przeniesienie rzeczy należy. Tymczasem szafa u państwa się zostanie, a jak ja uzbieram resztę pieniędzy — to przyjdę, ohoćby i za miesiąc jaki i dopłacę — a wtedy i szafę zabiorę.

— Kiedy on zapłaci? za miesiąc! za rok może? — zawołał szydząc handlarz. A ja panie.. no! niech ja stracę... ja pani dam zaraz czternaście rubli. Weź pani!

I wydobył zatłuszczony pugilares z kieszeni.

— Ani za dwadzieścia wam już nie sprzedam. Wolę niech ten poczciwy człowiek zarobi — rzekł pan X., a zwracając się do tragarza dodał:

— Dobrze, mój bracie! zgoda z nami!, szafa do ciebie należy.

. . . .

W godzinę potem państwo X. już byli na nowem mieszkaniu, przesiedleni tam... kosztem biednych tragarzy — którzy, jak się o tem dowiedziałem nazajutrz od wspomnianego już sklepikarza — umówili się pomiędzy sobą ażeby wcale nigdy już nie zgłaszać się po ową szafę zadatkowaną ich własnym ciężko zapracowanym groszem.

Była to cicha i delikatnie ofiarowana, „tragarska jałmużna".

O! ten drobny, pracowity ludek warszawski — nosi często szczerozłote serca pod zszarzaną i połataną odzieżą!

Od Redakcyi.

W. Pan B. S. w Tarnopolu. O list Sobieskiego upraszamy.

W. Pan D. w Stanisławowie. Należy się Panu jedno premium. Wysłaliśmy „Kazanie Skargi", jedną z żądanych rzeczy.

PP. autorów, którzy życzą, aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu" znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 8.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.